

*Hrabal Bohumil*

*Czuły barbarzyńca*

W serii Dzieła Wybrane Bohumila Hrabaiia ukazały się tomy:  
Sprzedam dom, w którym już nie chcę mieszkać Bambini di  
Praga 1947

Wkrótce:

Święto przebiśniegu

Czuły barbarzyńca  
Teksty pedagogiczne  
Przekład: Aleksander Kaczorowski  
**Cwłat literacki**

*Tytuł oryginału: Nežny barbar*

*© Bohumil Hrabal, 1974, 1997*

*© Copyright for the Polish translation  
by Aleksander Kaczorowski, 1997*

*© Copyright for the Polish edition  
by Świat Literacki, Izabelin 1997*

*ISBN 83-88612-46-8*

*Projekt okładki: Grzegorz Laszuk*

*Na okładce wykorzystano archiwalną fotografię autora, Libeň,  
lata sześćdziesiąte*

*Skład: Fundacja Aletheia*

*Świat Literacki skr. poczt. 67 05-080 Izabelin*

*e-mail: redakcja@swiatliteracki. [www.swiatliteracki.com.pl](http://www.swiatliteracki.com.pl)*

*Printed in Poland*

*Friedrich Nietzsche: się filozofuje młotem*

*Vladimir kochał peryferie, kochał bezustannie rozkopane ulice, z których trzewi wyrwano rury kanalizacyjne, przewody elektryczne i telefoniczne, wszystkie te czarne, skłębione kable, które oplatają swymi czułkami przerażonych, przypadkowych przechodniów jak węże Grupę Laokoona, Vladimir kochał porozrzucane, dopiero co wypalone cegły i płyty chodnikowe zwalone byle jak na warstwy świeżej gliny... tę odkryta strukturę wnętrzości wielkiego miasta, przyrównywał te rozkopane ulice do swych grafik, nieład był dla niego zawsze miejscem procesów twórczych, dlatego był zdania, że wprawdzie należałoby zreperować całą tę kanalizację i przewody elektryczne, wszystkie te rury i zwoje, ale potem już tak je zostawić, z poprzerzucanymi byle jak deskami, z kładkami zbitymi naprędce, tak jak to się robi pod katedrą świętego Wita, gdy odkryje się kolejną rotundę, kolejny kościółek. Vladimir nigdy nie mógł napatrzeć się do syta na to objawione piękno, w którym chaos rządzi się swoim porządkiem. Czerpię z jego metody, pisząc to wspomnienie o nim, ja także zostawiam tekst jak rozkopaną ulicę i zdaję się na czytelnika, który winien ponad tą plataniną lejących się, rozprysniętych zdań i słów, przerzucić gdzie tylko zechce deskę lub zbitą naprędce mostek, aby móc po nim przejść na drugą stronę... Dichtung und Wahrheit.*

## DZIENNIK PISANY NOCĄ

Kiedy Vladimir późnym wieczorem wracał ze swojego miejsca pracy, ze swoich niezwykłych wizyt i spotkań, kładł się w ubraniu do swego łóżka na Libni, Na Grobli Wieczności pod numerem 24. Nad poduszką przymocował opuszczaną lampę i w strudze padającego z góry elektrycznego światła pisał listy do samego siebie, swój dziennik. Vladimir pisywał wówczas późnym wieczorem, prowadził ten swój dziennik w olbrzymiej księdze, w takich księgach w browarach prowadzi się rozchód piwa, w takich foliałach komisanci w rzeźniach ewidencjonują zakupione i sprzedane zwierzęta rzeźne. Vladimir zapisywał te swoje dzienne komunikaty nie dlatego, że tak mu się podobało, ale dlatego, że musiał, ponieważ pisanie było częścią jego psychoterapii, ponieważ kiedy pisał, wentylował za pomocą dłoni rozgrzany kocioł swego mózgu. Pisał w nocy ten swój dziennik ołówkiem stolarskim, gdyż tok jego myśli był tak prędko, że Vladimir jedynie z największym trudem nadążał za ciągiem obrazów, które oszałamiały go i pozbawiały tchu. Był wtedy połączony z tą księgą tak, jak książka telefoniczna z budką telefoniczną za pomocą łańcucha. Tak więc skrobał ten swój foliał ołówkiem stolarskim, nękany migreną, która wbijała mu w głowę gwóźdź, i bólami

woreczka żółciowego, który jak rozpalony klucz otwierał mu wątrobę. Ale im dłużej Vladimir pisał, tym szybciej opuszczały go te jego dolegliwości i kompleksy. A kiedy rozległ się kilkakrotnie wśród nocy jego triumfalny śmiech: Chachachachaaa!, ostatnie zmarszczki zniknęły z jego twarzy, wyczerpała się maniakalna energia i zakończył się dzień roboczy, żeby trwać nadal na innych poziomach, w sferach delirycznych marzeń i zwielokrotnionych snów. W owym czasie, przed ćwierćwieczem, kiedy Vladimir pisywał po nocach ten swój dziennik, stawał przed wyborami moralnymi, przeciskał się przez wąską szyjkę butelki od niezwykłych skojarzeń do rzeczywistego ruchu materii. Przeczucia i wizje nowych metod plastycznych pobudzały w nim agresję, której potrzebował, by ze swojej przedłużanej ponad miarę młodości przedrzeć się do wieku męskiego, który się jeszcze nie zaczął. Nie mogąc w owym czasie dobrać się za jednym zamachem do wewnętrznej artystycznej struktury materii, a zatem od subiektywnego indywidualizmu przejść do zbiorowości i obiektywizmu, tak bardzo cierpiał z powodu hipochondrii i hysterii, że doprowadzał sytuacje i zdarzenia na sam skraj brutalnej przemocy i oskarżeń o obrazę honoru. W owym czasie w swoich listach do przyjaciół świadomie prowokował, nie po to, żeby następnie doszło do pogodzenia się i powrotu do stanu pierwotnego, lecz by powstała synteza wyższej tożsamości, którą twórczy Vladimir ponownie rozdawał, żeby przez nowy podział osiągnąć wyższy stopień twórczego i ludzkiego poznania. Przez psychopatologię do psychologii. W owym czasie przed ćwierćwieczem, kiedy Vladimir pisał po nocach swój dziennik, mieszkałem w sąsiednim pokoiku, w byłym warsz



tacie kowalskim, i ja także wgrzyzałem się w nowe obszary pisania i rozumienia, można powiedzieć, że przewycięzałem automatyzm psychiczny za pomocą realizmu, powrotu do przeżyć i faktów. Tak więc w owym czasie wydzieraliśmy się z Vladimirem na siebie, stojąc każdy na progu swego pokoju, wylewaliśmy na siebie kubły pomyj, ciskaliśmy sobie nawzajem w twarze wątroby i kiszki, które nawzajem sobie wyrwaliśmy, wrzeszczeliśmy na siebie nie tylko zza zatrzaśniętych drzwi, przez ściany, ale i przez bloki domów, z Zizkova na Libeň i z powrotem, nie wiedząc nawet, że zmierzamy w dwie całkiem różne strony. W owym czasie Vladimirek chował przezornie moją siekierkę, a ja zamykałem przezornie jego nóż kuchenny. Ale myliłby się każdy, kto by sądził, że nie byliśmy przyjaciółmi! Już w dwadzieścia cztery godziny po psychicznym pogromie raczyliśmy się znowu piwem i Vladimirek oczarowywał piwoszy i nęcił swoimi specjałami z gestów i słów nawet tych, którzy przyszli do knajpy w kapciach, z dzbanem na piwo, po sąsiedzku. A potem przemierzaliśmy wieczorne i nocne peryferie, wracając powoli do zagadnień estetycznych, które wciąż same się w nas roztrząsały, podziwialiśmy widok Pragi z Pražaczki albo ze Szlosberku, w naszych oczach połyskiwało odbicie tej nocnej Pragi, a potem w pokoju Vladimira uzupełnialiśmy tę gigantyczną, nie dającą się ogarnąć wzrokiem panoramę wysztafirowa-nej światłem elektrycznym metropolii... widokiem w mikroskopie Vladimira, który wprowadzał nas w zachwyt swoim prawidłowym ruchem w miliardościen-nej materii. I moja siekierka stała już znowu w przedpokoju, a kuchenny nóż Vladimira leżał przyjaźnie na jego stole. W owym czasie, kiedy Vladimir pisywał po

nocach swój dziennik, który przypominał protokół z sali operacyjnej, księgę, w której opisuje się położenie wnętrzości, tak jak żył ze mną Na Grobli Wieczności pod numerem 24, tak samo zwracał swój rytm miłości i gniewu nie tylko przeciw swoim kolegom ze szkoły grafiki, ale i przeciw swojej matce, kolegom z pracy i przełożonym. W ogóle obrazem zmienności jego stosunku do ludzi była sinusoida, przyływ i odpływ, czerń i biel. Kochał tak szaleńczo i terroryzował każdego, kogo napotkał, ponieważ wolał uchodzić za pomyłonego niż za drobnomieszczanina. Poeta Egon Bondy, który często nas odwiedzał, za każdym razem, kiedy Vladimir odczytywał mu coś ze swego dziennika, tupał podszewkami swoich małych trzewików w podłogę i krzyczał: Kurwa fiks! Zanim ja znajdę jeden taki obraz, muszę wpierw przekopać małym palcem cały plac! A on sypie nimi, ot tak, z rękawa! Vladimirze, na miłość boską! Niech pan pisze wiersze, kurwa fiks! A Vladimir śmiał się prostodusznie, kosmyki włosów opadały mu na czoło, śmiał się i promieniał ze szczęścia, ponieważ w pewnych chwilach Vladimir bywał tak podatny na wzruszenie i pochwały, że przypominał dziecko, które zobaczyło choinkę z zapalonymi świeczkami. A ponieważ Bondy zawsze się bał, że wieczorem zamkną wszystkie gospody, już po południu na wszelki wypadek szliśmy po piwo z konwiami i miskami. Kiedy Vladimir był w dobrym humorze, jak tylko wyszliśmy na ulicę, unosił nogę tak wysoko, że opierał podszewkę pantofla na najwyższym szczeblu drabinki, która była uwiązana na łańcuchu do gazowej latarni. I w tej pozycji niemal dwumetrowy Vladimir zawiązywał sobie sznurowadło, a Egon przechodził tam i z powrotem pod jego zgiętym kolaniem

i krzyczał z dołu: Kurwa fiks! Kiedy opowiem o tym Zbyńkowi Fiszerowi, to dopiero się ucieszy! A Vladimir, żeby przechodnie napatrzeli się na to zdarzenie do syta, zostawiał ten pantofel pod samą latarnią. To zawiązywanie sznurowadła było szczególnie piękne wieczorem, gazowa latarnia oświetlała zakręcone pukle niesfornych kędziorów Vladimira, ludzie zatrzymywali się i nie mogli wydobyć z siebie słowa. Zresztą w ogóle, kiedy Vladimir szedł przed siebie, wyglądał jak zapalona latarnia, był smukły jak ona, a jego twarz z daleka przyciągała spojrzenia przechodniów. W owym czasie, przed niemal ćwierćwieczem, kiedy Vladimir pisał po nocach ten swój dziennik, stworzył spośród terminatorów z CzKD grupkę, którą poinformował, a potem nauczył, w jaki sposób łatwo i bez wysiłku można uzyskiwać ciągi i serie plam, którym następnie można nadać pożądane formy. Tak więc to, do czego Vladimir nie mógł nakłonić swych przyjaciół, żeby założyli klan, wspólnotę artystyczną, to wynagrodziła mu grupa terminatorów, z którymi chodził po pracy do gospody Pod Kasztanem w Vysoczanach. Było to wprost nie do wiary, jak wiele Vladimir dawał z siebie tym młodym ludziom. Kiedy tylko któryś zwrócił się do Vladimira, choćby nawet żartem, Vladimir natychmiast nie tylko dawał wyczerpujący wykład o tym, jak tworzy swoje grafiki, ale pisywał do każdego listy z takim samym entuzjazmem i naukową sumiennością, jak wtedy, kiedy pisał do profesora Vondracz-ka. A kiedy terminatorzy musieli już wracać do domu, Vladimir zwracał się do tych gości, którzy się przysiedli, i znów, z tą samą cierpliwością i precyzją informował piwoszy, że wprawdzie nie każdy może zostać artystą, ale za to każdy, komu przyjdzie ochota, może

dorysować sobie to, co zobaczy wśród plam. W owym czasie, kiedy Vladimir pisywał po nocach swój dziennik, mieszkał z nim młody stolarz, pan Kaifr, który, kiedy wracał ze zmiany, czesał napomadowane włosy, kładł się na pryczy i ucinał sobie drzemkę, częstokroć widziałem, jak Vladimir klęczał pod zapaloną opuszczaną lampą, ponieważ do naszego mieszkania nigdy nie zaglądało słońce, więc świeciliśmy także za dnia, kosmyki włosów Vladimira błyszczały w świetle żarówki jak mosiężne blaszki i Vladimir opowiadał o cudowności materii i jej odbiciu w ludzkim mózgu, jednakże pan Kaifr głęboko spał. Lecz mimo to, po kilku miesiącach eksplozjonalistycznych wykładów, pan Kaifr zaczął pracować nad szkatułką dla swojej panny, nad kasetką, której wieczko ozdobił dwunastoma obrazkami na drzewie z forniru, którego mętnej nie-konkretności nadał za pomocą pędzla widziane wcześniej kształty. W owym czasie, kiedy Vladimir pisał po nocach ten swój dziennik, przyprowadził kiedyś do mieszkania swego przyjaciela Bouszego, który pracował wtedy na zaporze, skąd wracał tak zmęczony, że i on wolał leżeć i drzemać, zamiast wyżywać się artystycznie, jak sobie tego życzył Vladimir. Dlatego sprowadził do siebie kolejnego przyjaciela, Pitharta, i ten grafik przez całe dni i noce pracował nad grafikami, które rył w blasze, a jako podkładki używał ogromnej żelaznej płyty, która za każdym razem o innej porze nocy spadała ze stołu, tak że trząsał się od tego nie tylko cały budynek, ale nawet ulica, tak więc co noc lokatorzy zrywali się z łóżek i biegali w nocnej bieliźnie po galerii, takiego strachu napędzał im wszystkim ten straszliwy łomot. Jeden Vladimir śmiał się, w gruncie rzeczy cieszył się z tych nagłych pobudek,

ponieważ Vladimir kochał nieszczęśliwe wypadki i katastrofy, w gruncie *xi.zcLy* Vladimir sam szukał guza, zawsze czuł się zaszczycony tym, co w kim innym budziło lęk i trwogę. A ja w owym czasie chodziłem pod oknami jego pokoju, raz po raz zaglądałem do środka, a kiedy się położyłem, wciąż nie mogłem uwierzyć w to, co zobaczyłem w pokoju Vladimira, i znowu szedłem popatrzeć i niemal za każdym razem widziałem to samo. Vladimir klęczał pod opuszczoną lampą i opowiadał śpiącemu panu Kaifrowi i swemu przyjacielowi Bouszemu o eksplozjonalizmie, kłał się na swoją głowę, wymachiwał do taktu moją siekierką, która świeciła się tak samo, jak kręcone kosmyki jego jasnych włosów. Chodziłem pod jego oknami i widziałem, że jego dwaj przyjaciele słuchają go, ale za pośrednictwem jakiegoś innego systemu sygnałów, przez sen. Jeden Pithart pracował, ale to były olbrzymie, realistyczne grafiki. Niekiedy przychodziła też piękna dziewczyna w skórzanej kurtce, przynosiła Pithartowi jedzenie w torbie, więc oprócz ostrza siekierki w światłach i półmroku pokoju poruszały się także cynowe łyżki, podczas gdy krawędzie tej ogromnej żelaznej płyty połyskiwały złowieszczo, jakby zastanawiały się, o jakiej, najmniej odpowiedniej porze nocy, zwalić się ze straszliwym hukiem na podłogę. Ta piękna dziewczyna w skórzanej kurtce była z policji, później zabrała Pitharta do siebie, ponieważ przez tę grafikę okropnie wychudł. Kiedy wynosili z tą dziewczyną tę żelazną płytę, nieśli ją, jakby to była maszyna do szycia albo pralka. Cały dom i sąsiedzi odetchnęli z ulgą. Tak jakoś żył Vladimir, kiedy pisał po nocach ten swój dziennik, twórczy dogmatyk wobec siebie same

go, synteza księcia Myszkina i Stawrogina, mistrz horroru i niewiarygodnej pokory, artysta, który z biegiem lat zdołał kosztem twórczego wysiłku wszystko, co negatywne, zmienić w pozytywne. Gdyby żył, w tym roku skończyłby pięćdziesiąt lat i jego przyjaciele, wśród których jest bardziej obecny niż wtedy, gdy jeszcze tu był, wydają z pietyzmem *Jedna siódma* jego dziennika, fragmenty, które on sam wybrał z tej ogromnej księgi, teksty, którym przypisywał znaczenie i które wydał pod tytułem *Jedna siódma* w swojej edycji *Eksplozjonalizm*. Trzeba też dodać, że to śmierć Vladi-mira umożliwiła spojrzenie na jego życie, w którym starał się wdrzeć w tkanekę i jądro materii i uchwycić jej wewnętrzne piękno, swoimi grafikami oddał tej wielkiej matce materii cześć i tchnął w nią ducha...

Pewnego razu pojechaliśmy z Vladimirem i poetą Maryską na grzyby. W pociągu żartowaliśmy ze stosunku między ślubem a złotą obrączką, która błyszczała na palcu serdecznym Vladimira. Panu Maryśce ta obrączka się nie podobała, uważał, że jest tandetna i w złym guście. Vladimir na to: Ta obrączka się panu nie podoba? Pan Maryśko powiedział, że ani trochę. I Vladimirek, zanim ktokolwiek zdołał mu w tym przeszkodzić, zdjął tę złotą obrączkę i wyrzucił ją z pędzącego pociągu między umykające w tył kulisy klanowickich lasów. Poruszaliśmy niemo ustami, nie mogąc wydobyć z siebie słowa, ponieważ wiedzieliśmy, jakim uczuciem Vladimir darzy tę obrączkę, symbol jego miłości do Tekli, którą niedawno poślubił. Ale Vladimir, bez drżenia w głosie, tłumaczył szeptem zastygłemu w ciszy przedziałowi, że najwięcej mleka dają krowy chore na gruźlicę. I dziś wiem, że ta lecąca w tył obrączka, wyrzucona z pędzącego pociągu, że ten

arystokratyczny gest był dla Vladimira twórczym czynem, tym donioślejszym, im boleśniej przeżył tę stratę. Zresztą tak, jak z tą obrączką, Vladimir postępował ze wszystkim, nawet ze swoim życiem. Przed pięciu laty, w dzień świętego Mikołaja, który również z ochotą i miłością dzielił się wszystkim co miał, Vladimir, eksperymentując na sobie samym, nie przypuszczał, w swojej prostocie ducha nawet nie mógł przypuścić, że zawiedzie ostatnie ogniwo związku przyczynowego, ta ostatnia upragniona obrączka... a klamka szczęknęła zwodniczo... i sznurek zaciśnięty na jego gardle zaciś-nie się jeszcze bardziej... ale tym razem ludzkie ręce nie przyszły mu z pomocą, jak tyle razy przedtem... i Vladimir skoczył na głowę z grobli istnienia w samo serce wieczności.





## CZUŁY BARBARZYŃCA

Vladimir, mistrz zmysłowej imaginacji, wiecznie półżywy, jedną nogą stojący w grobie, zawsze jedynie po to, ażeby móc zmartwychwstać, odmłodzić się, znów zebrać siły i przebić głową mur, znaleźć się po drugiej stronie i wrócić po pepowinie do początku wszechrzeczy, z powrotem do pierwszego tygodnia stworzenia świata. Dzięki temu jednocześnie potrafił być prastary jak sam świat i młody niczym jutrzienka, jak listowie, które właśnie się rozwinęło. Swoją bezustannie odradzającą się, odmładzającą egzystencję Vladimir umiał wystawiać na szwank, umiał ją wyrwać z kolein i poddać próbie ognia. Dlatego kochał ból. Gdy nie przychodził z zewnątrz, zadawał go sobie sam. Czuł się odpowiedzialny tylko i wyłącznie przed samym sobą i żywiołami, z których się składał. Za pomocą swych grafik zwracał elementom uszlachetnioną strukturę ich materii... Odświeżył kilka mitów... Mit Dionizosa, pięknego pijanego młodzieńca, będący źródłem działań twórczych, i mit Anteusza, historię bohatera, który, kiedy opadnie z sił, może odzyskać je tylko wtedy, gdy dotknie ziemi. Vladimira wprawiała w zachwyty betoniarka i jej zawartość, kocioł ze stygnącą smołą, młot pneumatyczny, butla acetylenowa, której przewody

i palnik pomrukują cichutko, emanując niebieski płomień, lut blacharski, lutownica, biały szron pokrywający ladę zamrażarki, malarz pokojowy i ślady farby na gazetach, zaschnięte plamy spermy na spodenkach gimnastycznych, zakrwawione prześcieradło...

Wszystkie przywary epoki skupiały się w osobie Vladimira: figlarność, komedianctwo, patologiczne rozdrażnienie, alergie, zgrywanie się na prostaczka i imbecyla, dogmatyzm, romantyczna melancholia i marzycielstwo, wstręt do krawatów, zamiłowanie do hasel i transparentów, lubił maszerować ze sztandarem, nietolerancja, pogarda dla intelektualistów, pokora i megalomania, zamiłowanie do obscenów, plotkarstwo, histeria, mania prześladowcza, narcyzm, sentymentalizm, podejrzliwość...

Ale Vladimir potrafił to samo, co nowoczesne silniki samochodowe. Tłoczyć mieszankę prosto pod świecę, bez rozpraszania jej w gaźniku. Przenieść surową materię prosto do sfery transcendencji. To zaś wymagało surowca najwyższej jakości. Vladimir umiał go pozyskać. Parametry ciśnienia w jego głowie obliczone były na najwyższy stopień rozgrzania materii, ten sam co u Vincenta van Gogha, Muncha, Połłocka. Dlatego tryskał zdrowiem wtedy, gdy mógł folgować swoim emocjom. Tylko w ten sposób mógł położyć fundamenty naukowej imaginacji, tylko za sprawą subiektywnego stosunku do ukochanego tworzywa przeniknął do obiektywnego ducha epoki. Jego grafiki to apoteoza światopoglądu materialistycznego, sam Vladimir to twórczy proletariusz, który swym dziełem złożył pracy ludzkiej hołd na nową modłę, a zatem wstąpił w szeregi tych, których celem jest aktywna miłość do człowieka, aktywna przemiana świata. Dzień

ki temu, że z umowy społecznej brał na siebie tylko i wyłącznie obowiązki, że samemu sobie, eksperymentując na sobie samym, udowodnił, że wojnę godzi się wypowiedzieć tylko i wyłącznie sobie samemu, że pustoszyć można tylko i wyłącznie swoje terytorium, które jest w głowie, własnym życiem udowodnił nie tylko to, że wykorzystywanie człowieka przez człowieka należy do przeszłości, ale w imię twórczego eksplo-zjonalizmu odrzucił także walkę klas, ponieważ można żyć w pokoju na koszt wszechświata i siebie samego...

Tarcze szlifierskie marki Karborundum, szorstkim chwostem usuwające nierówności i skazy z kawałków stali, te tarcze szlifierskie były dla Vladimira symbolem pedagogiki, tak wobec jednostki, jak i całego społeczeństwa. Przez pół roku pracowałem w hucie Poldi przy zegarze fabrycznym, Vladimir, ilekroć wszedł do warsztatu, gdzie na łańcuchach pracowało dziesięć tarcz obsługiwanych przez dziesięciu szlifierzy w okularach ochronnych, Vladimir tak był tym przejęty, że nawet nie mrugał powiekami, stał tylko i patrzył, za każdym razem oszołomiony tym, co widzi na jawie i w wyobraźni...

Pewnego razu szliśmy z Vladimirem od Kroftów — jak mawiali starzy ludzie, od Pudilów — żywo dyskutując. Gdy mijaliśmy pozostawiony na chodniku wózek dziecięcy, w którym płakało dziecko, Vladimir stanął jak wryty. Dziecięcy płacz przykuł jego uwagę, kilkoma susami wrócił do wózka, spod dziecięcej główki w beciku wyciągnął dymiący wciąż niedopałek, uniósł go teatralnym gestem, a potem rozdeptał jak wstrętnego robaka.

Ktoś wyrzucił resztkę tłącego się papierosa przez otwarte okno. Kiedy ruszyliśmy dalej, powiedział: Doktorze, czy nie kupiłby mi pan papieru i farb, co? Bo jeśli tak, to wie pan co, pod wrażeniem

widoku tego dziecka w wózku, z papierosem płonącym tuż koło uszka, zrobię panu grafiki. Coś całkiem wyjątkowego, specjalnie dla pana, o tym dziecku. Ale pan nie kupi mi ani farb, ani papieru. Czy może jednak... ?

Vladimir, Bondy i ja tak bardzo lubiliśmy piwo, że gdy przynoszono nam do stołu po pierwszym kuflu, wprawialiśmy w popłoch całą gospodę, nabieraliśmy pianę w dłonie i nacieraliśmy nią sobie twarze, wcieraliśmy pianę we włosy, jak Żydzi, którzy smarują pejsy wodą z cukrem, a że przy drugim piwie powtarzaliśmy ten zabieg z pianą, świeciliśmy się i pachnieliśmy piwem na kilometr. Przede wszystkim jednak — to były wygłupy — był to wyraz naszego zachwytu piwem, nieokiełznanego zachwytu tym, że jesteśmy młodzi. Byliśmy entuzjastami piwa... Vladimir z taką ochotą i szybkością poruszał się po Pradze, że skracał dystans między Žižkovem a Libnią, między Koszircami a Strzeszovicami. Wtedy, gdy wyrzucił obrączkę ślubną z pociągu pędzącego przez klanowickie łąsy, tego popołudnia przepadł nam w ke-rskich lasach. Rano, gdy otworzyłem drzwi mieszkania na Libni, wypadła z nich kartka, na której było napisane: O dwunastej dotarłem przez Czeski Brod do Pragi, o czym pana zawiadamiam. Pozdrowienia, Vladimir. Tak się pojawiał w Hluboczepach, tak się pojawiał na Medniku u przyjaciół-surrealistów. A później, kiedy miał gdzieś wystawę, wyjeżdżał już o noc wcześniej, wyobrażał sobie z najmniejszymi szczegółami wszystko, co może wydarzyć się na wystawie i podczas jej trwania, wszystko, do czego nie dochodziło... Vladimir wciąż myślał o tym, co może się stać. Przyjaciela, który zgromadził w domu parę cet-narów skamielin, Vladimir nauczył rysunku eksploz

jonalistycznego. Vladimir z upodobaniem odrysowywał te skamieliny krabów na portretach, lecz gdy przyjaciel zaproponował mu, by zszedł z nim po skamieliny do Jaskiń Koniopruskich, Vladimir odparł: Jeszcze czego, zdradziłem ci sekrety aktywnej grafiki, opowiedziałem ci więcej niż komukolwiek innemu, boję się, ty znasz te jaskinie jak własną kieszeń, popchniesz mnie i strącisz w przepaść, a potem będziesz podawał moje pomysły za własne... jeszcze czego. Idź sam... Vladimir nienawidził pieniędzy. Jak dostawał zaliczkę, to zaraz ją przepuszczał, a potem przez resztę miesiąca musiał pożyczać dzień w dzień tu dziesięć, tam dwadzieścia koron, wypisywał starannie na szafce nazwiska wierzycieli, którym sumiennie zwracał zaciągnięte długi, gdy brał wypłatę: zawsze stał i każdemu oddawał, co mu był winien. Potem stawał z resztą pieniędzy w dłoni i ze śmiechem mawiał: A z tym co? Mam to wrzucić do pieca? Czy przepuścić? Przepuszczał tę resztę i był szczęśliwy, kiedy pożyczył w nocy sześćdziesiąt halerzy na tramwaj albo na papierosy, a potem wracał do domu na piechotę. Kiedy dostał kilka tysięcy za ilustracje do książki, wpadł w przerażenie... Dwa tysiące dał matce, dwa teściowej, parę setek natychmiast wydał, a kiedy matka, pewna, że Vladimir ma pieniądze, wyjechała, żeby przekonał się, jak mu się będzie bez niej mieszkac, Vladimir z furją maniaka przepuścił resztę pieniędzy i odetchnął z ulgą dopiero wtedy, gdy znowu mógł pożyczyć sześćdziesiąt halerzy na tramwaj. Myśleliśmy wtedy, że Vladimir ma zapewnione utrzymanie na dobre kilka tygodni. Kiedy go odwiedziłem, otworzyła mi sąsiadka i powiedziała cicho, gdy napomknąłem, że Vladimirkowi przynaj

mniej teraz dobrze się powodzi: A gdzie tam... wieczorem zjadł mi kartofle, co je trzymałam w korytarzu...

Wówczas, gdy tak chętnie się sprzeczaaliśmy, bo i mieliśmy powód do sprzeczek, sąsiedzi czynili z tego zarzuty Vladimirowi, a on się bronił: Ze niby ja? A skąd, to on! I wskazywał na moje okno. Kiedy zaś czynili z tego zarzuty mnie, wówczas to ja mówiłem: Ze niby ja? A skąd, to przecież on! I wskazywałem na okno pokoju Vladimira. Któregoś razu, gdy nasza kłótnia osiągnęła punkt kulminacyjny, gdy każdy z nas spał we własnym pokoju, Vladimir z moją siekierką w łóżku, a ja z jego nożem kuchennym, gdy tylko któryś z nas się poruszył, podrywał się i ten drugi, kiedy jeden wstał, to i ten drugi wstawał także, zapalaliśmy światło i przez łączące nasze pokoje drzwi pokazywaliśmy sobie nawzajem, że trzymamy u siebie broń przeciwnika. Aż postanowiliśmy, że te przejściowe drzwi zamurujemy. I przyszedł stary murarz z ulicy Brackiej, wyjęliśmy drzwi z zawiasów i murarz przykrył futrynę papą, i podpisaliśmy dozorczyńni zobowiązanie, że zanim się wyprowadzimy, doprowadzimy lokal do pierwotnego stanu... i murarz kładł cegły, nabierał zaprawę z taczki, siedzieliśmy z Vladimirem! każdy przy swoim stole i przyglądaliśmy się ze wzruszeniem, jak powoli cegły wznoszą się coraz wyżej, jak wyrasta między nami mur, jakby podnosiła się woda, każdy z nas widział tego drugiego już tylko od pasa w górę, Vladimir, ponieważ był taki wysoki, wciąż jeszcze siedział, widziałem już tylko jego głowę, potem podnieśliśmy się, a murarz stał między nami na przewróconej kastrze, podawaliśmy mu cegły, wspólnie przykładaliśmy cegłę za cegłą, by się od siebie oddzielić, separatio od stołu i łoża, jak ta staruszka, która

dorzuciła Husowi na stos swą wiązkę chrustu, potem już się nie widzieliśmy, ale z tą samą zaciekłością ścigaliśmy się, podając cegły murarzowi, który wyliczywszy je na oko, pod koniec pracy tak narzucił zaprawę, że tych cegieł dokładnie mu starczyło... A gdy zaprawa zaschła, postawiliśmy drzwi w tym samym miejscu, oparte na aby aby... i odetchnęliśmy z ulgą, że na pozór mamy od siebie spokój, kiedy każdy z nas siedzi na dnie własnego pokoju. Egon Bondy, który przyszedł w odwiedziny, kiedy jeszcze cegieł było po pas, biegał przez drzwi wiodące z korytarza na przemian to do mnie, to znów do Vladimira, łapał się za brodę i próbował zrozumieć o co chodzi z tym podziałem, skoro wciąż mogliśmy wpaść na siebie i do siebie z korytarza... — Do cholery, co znowu wyprawiacie? — warknął i wybiegł na podwórze, na słońce, które tryskało na dno podwórza hektolitrami jasnego piwa, Egon zawsze, kiedy stał w słońcu, wyglądał jak faun, który wynurzył się z cysterny z piwem, jasne włosy zawsze opadały mu wzdłuż uszu, a broda w blasku słońca wyglądała jak zalana jasnym leżakiem, stał tak, wymachiwał rękoma i wołał: Panie Władymirze! To nie wystarcza panu, że murem rozdzielona jest Europa, że jest rozdzielona Korea, że rozdzielony jest podzielony Berlin? Na cholere to panu i tej całej reszcie! Po czym znowu wszedł do środka, rozzłoszczony, patrzył ode mnie na głowę Vladimira, potem przebiegł na drugą stronę i patrzył od Vladimira na moją głowę i czekał w napięciu, tak samo jak my, na tę chwilę, gdy już nie będziemy się widzieć, jeszcze tylko ostatnia cegła, ostatnia porcja zaprawy... A potem, wieczorem, kiedy Vladimir wrócił i zaczął pisać swój dziennik, słyszałem jego pióro, jak cicho skrzypi

na kartkach tej wielkiej księgi, z większą ochotą, niż gdyby tego muru między nami nie było... A kiedy Vladimir przewrócił się w łóżku na drugi bok, było tak, jakby leżał tuż obok mnie, gdy oddychał, słyszałem jego oddech, słyszałem nawet, jak unoszą się jego płuca, jak pracują jego wnętrzności, słyszałem jego serce za murem jeszcze głośniejsze, wyraźniejsze, niż gdyby muru między nami nie było. Tak więc spotykaliśmy się tylko przypadkowo na korytarzu, wymienialiśmy uprzejmości, aby, gdy zamknęliśmy się w swoich pokojach, każdy w swojej norze, czuć obecność tego po drugiej stronie jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Potem przysunąłem łóżko do samej ściany, a na drugi dzień zobaczyłem z podwórza, że Vladimir także przysunął swoje łóżko do ściany z drugiej strony, i spaliśmy tak jak bliźnięta syjamskie, zrosnięci z sobą kręgosłupem ściany, która nas nie dzieliła, ale łączyła jeszcze bardziej niż wtedy, gdy drzwi do woli poruszały się na zawiasach. — Śpi pan? — szepnął Vladimir. — Jeszcze nie — wyszeptałem do ściany. — Ja też nie... — szepnął Vladimir. Czasem wcale się do siebie nie odzywaliśmy, ale wystarczyło tylko dotknąć paznokciem muru, bym usłyszał z drugiej strony, tak samo jak Vladimir, że wyciągnięte ku paznokciowi z drugiej strony palce wpijają się w tynk, skrobą po nim lekko, i tym sposobem dawaliśmy sobie znak, że tak naprawdę przyjaźnimy się bardziej niż przedtem... Aż w końcu stało się tak, że gdy Vladimir wyprowadził się na Zizkov i chodził tu i ówdzie z wizytą, a ja chodziłem do niego do fabryki, do gospody Na Przystanku, zabraliśmy się do tego... Znowu byliśmy przyjaciółmi na śmierć i życie, ale już na siebie nie wrzeszczeliśmy, ponieważ każdy z nas szedł własną drogą i nie



zawodniczy! z drugim, więc Vladimir przystawił krzesło, a ja z drugiej strony swój taboret i meslem wykruszyliśmy zaschnięty tynk, zaprawę, potem wyjęliśmy cegłę, a potem jeszcze jedną i byliśmy bezgranicznie wzruszeni, jakbyśmy dokonywali operacji jeden na drugim, jakbyśmy otworzyli sobie nawzajem klatki piersiowe... i zdumieliśmy się, jak piękny jest pokój tego drugiego, choć nie widzieliśmy niczego poza czołem czy brodą przyjaciela z białą, smutną ścianą w tle... i wyjęliśmy jeszcze parę cegieł, widzieliśmy się już od pasa w górę, Vladimir postawił na murku niedopitą butelkę likieru wiśniowego, ja z drugiej strony dolałem do niej rum, potrząsnęliśmy butelką i podawaliśmy sobie ten likier... A gdy przepijaliśmy do siebie, przyszedł Egon Bondy i zdębiał... potem stanął na taborecie i zajrzał do pokoju Vladimira, przebiegł korytarzem, wpadł do Vladimira i stamtąd znów patrzył na mnie, na murek w drzwiach, który teraz wyglądał po prostu jak stół... przyniosłem szklanke, nalałem do niej naszej mikstury, Egon napił się, ale zaraz wypluł likier, jakby przez pomyłkę napił się kwasu... i stanął przy murze, tłukł obiema piąstkami w tynk, tłukł lekko czołem w mur, potem to samo zrobił u Vladimira i wołał, krztusząc się ze śmiechu: Kurwa fiks! Odprężenie! Porozumienie między narodami zaczęło się tu i teraz! Idę przedyskutować to z filozofem Zbyńkiem Fiszerem. To jest róża, to nie jest róża, a więc to jest róża! Żeby zapanowała zgoda, wpierw musiał być spór...

Vladimir lubił chodzić z odkrytą głową, przy złej pogodzie zakładał czarny rabinacki kapelusz, który nosił z szokującą, brummellowsko-dandysowską elegancją, a gdy przyszedł mróz, to sam uszył sobie

z matczynej mufki fantastyczną baranice, taką, jakie nosi się teraz, z olbrzymim daszkiem, czapkę, jakie nosili rabini z Nikolsburga. Kiedy od czasu do czasu wiązał krawat, to na pierwszy rzut oka wyglądał on nie jak krawat, ale jak obroża, nie jak obroża, ale jakieś powrósło, które z rozmysłem nosił przekrzywione na lewo, tak że węzeł był na wpół schowany pod kołnierzem koszuli. Marzył mu się elegancki sweterek, elegancki garnitur, ale kiedy już je sobie sprawił, zaraz sam siebie wyzywał od debilów, imbecylów, idiotów...

Lubiliśmy pić piwo w barze Świat i patrzeć na sprzątaczkę. Jedna, za młodu występująca w operetce, teraz siedemdziesięcioletnia, była umalowana, miała na sobie pretensjonalny fartuch. Kiedy zamiata, tańczy ze szczotką, każdy mężczyzna czule gładzi jej dłoń, gdy się do niego zbliży. Komediantka. Śmieje się, upija klientom piwo, a kiedy pcha przed sobą wózek pełen talerzy z resztkami jedzenia i brudnymi sztućcami, śpiewa wesołe kuplety. Szalone stare babsko, na jej widok można pęknać ze śmiechu... Lecz uwaga! Vladimir: To jest święta... Druga sprzątaczką, też już od dawna na emeryturze, grywała w tragediach w małych prywatnych teatrzykach, żółta tragiczna maska rozdeptana przez karnawał. Kiedy zamiata, wzdycha, jak gdyby pogrzebaczem zgarniała swe prochy po kremacji. Kiedy pcha przed sobą wózek z brudnymi naczyniami, to tak jakby odwoziła swoje stare kości do zbiornicy surowców wtórnych. Tragiczny wyrzut sumienia. Lecz uwaga! Pije wszystko, co podłeci. Przepija emeryturę z miesięcznym wyprzedzeniem, pije piwo bańkami, nieszczęśnica wędruje z nimi do Vanisztow. Vladimir: Następna święta...! Stoimy tak, popijamy i patrzymy na te dwie święte, za każdym, kto wchodzi,

przeciąg zamyka drzwi, z początku powolutku, a na koniec potężnym łupnięciem. Tak jakby za każdym klientem zamykało się z hukiem wieko postawionej na sztorc metalowej trumny. Aż naraz wszedł Egon Bondy: Gdzieście byli ? Szukam was już w szóstej gospodzie — krzyczy i unosi w drzwiach ręce, a za nim buch! Znowu przeciąg. Egon zatkał sobie uszy. — To ciągle tak? Vladimir: Nie, tylko za każdym, kto wejdzie... pani Vlasztovkova, nie ma pani śrubokręta? I Vladimir przystawił sobie krzesło, włożył okulary, trzy razy przekręcił śrubkę, zwrócił śrubokręt i potem wszyscy czekali na pierwszego klienta... Drzwi zamknęły się cicho, tylko sprzątaczką-tragiczką wzdrygnęła się, jakby ktoś szturchnął ją w rdzeń kręgowy. Egon Bondy pił jedno piwo za drugim, rozglądał się, ale nic się nie działo. — Co tu robicie? — zapytał. Vladimir: Trwamy na posterunku... Więc Egon Bondy pił tak, by piwo ciekło mu po brodzie, i zanim natoczyli mu następny kufel, wysysał z brody resztki piwa. Z góry od Primato-rskiej nadjechała karetka na sygnale, na przodzie błyskało niebieskie światło, sprzątaczką-tragiczką złapała się za serce, karetka zahamowała przed barem z takim impetem, że o mały włos by się wywróciła, dwie staruszki w przejściu złapały się za głowy i wołały: Boże jedyny! Po kogo znów jadą! ? Egon Bondy szepnął z lękiem: Kurwa fiks, przecież mnie nic nie jest! I badał sobie puls. Z auta wybiegli dwaj sanitariusze, wyciągnęli białe nosze, potem każdy złapał po dwie bańki i wpadli do baru, zamawiając w biegu pilznera do pełna... i każdy wypił jeszcze po jednym piwie przy kontuarze, i dopili z kufli to, co nie zmieściło się w przelewających się bańkach, te dwie staruszki w bramie, które tak się zlekły, ocierały sobie nawzajem oczy

z łez, a sanitariusze wybiegli z bańkami, w rozwianych fartuchach, wskoczyli do karetki, w której wpierw umieścili z powrotem nosze z bańkami, i znów syrena wyta, światło znowu błyskało i auto o mały włos wywróciłoby się na zakręcie, a ludzie idący od strony Pałacyku chwyтали się za serce — Kogo to znowu wiozą? Egon Bondy powiedział: Jasna cholera, toż to memento mori! Vladimirze, w co pan nas znów pakuje? Vladimir był w siódmym niebie, Egon patrzył, jak przed kino zajechał ziindapp, a na nim mężczyzna w skórzanym kombinezonie i w kasku, ponury jak nurek, z olbrzymim plecakiem górskim na plecach, oparł motocykl o krawężnik, wszedł powoli do pasażu, a potem do kina. — Do jasnej cholery, a to co za dziwo? — wymamrotał Egon. Vladimir: On ma taką pracę, jeździ od kina do kina z kroniką filmową na plecach. Potem zobaczyliśmy, jak ten motocyklista w kasku zapalił motor i pojechał z kroniką do następnego kina, gdzie seans zaczynał się pół godziny później, i piliśmy piwo za piwem. Kiedy wyszliśmy pod Pałacyk, latarnie na przystanku już świeciły, nadjechała trzynastka, kobieta wsiadała z wózkiem do ostatniego wozu, ktoś jej pomógł, ale motorniczy za szybko zamknął drzwi, więc trzymała wózek przycięty w połowie, i tramwaj ruszył, a ta kobieta wciąż trzymając uchwyt wózka biegła, podskakując zabawnie, za tramwajem i krzyczała, ale tramwaj nie zatrzymał się i wózek zawadził o słup latarni, trzask i przełamał się w pół, ludzie stojący na przystanku krzyczeli albo osuwali się na ścianę Pałacyku, paru odważnych biegło do wózka, Egon Bondy pobladł... ale z połamanego wózka wysypały się z trzaskiem butelki z piwem i woń rozlanego piwa rozeszła się po całej ulicy... a kobieta krzyczała za

odjeżdżającym tramwajem: Zapłacicie mi, gałgany, za tych dwadzieścia piw! Panowie! — zwróciła się do Vladimira i Egona — jesteście moimi świadkami, zeznacie, jak było? Egon Bondy zagrzmiał: Flaszki, flaszki, ale co z dzieckiem? Przecież było słyhać, jak kości pękały! A kobieta odparła: To skrzynka pękła, chyba nie myśli pan, że stara kobieta będzie taszczyć dwadzieścia piw w rękach, co? Vladimir był w siódmym niebie. Egon Bondy wszedł chwiejnym krokiem na skwerek, w mrok, wymachiwał rękoma, jakby odganiał zły sen: Cholera jasna, ale gagi. Chaplin by tego nie wymyślił...

Kiedy ktoś taszczył coś na wózku, Vladimir oferował mu pomoc nie tyle z miłości do bliźniego, ile raczej, by poczuć w dłoni chłodny metal, gdzie tylko ktoś wyładowywał węgiel, Vladimir pytał, czy nie mógłby mu pomóc. I znów nikt nie przeżywał tak silnych wzruszeń, może tylko kochanek spleciony w uścisku z ukochaną, jak Vladimir, kiedy mógł machać łopata, czując w dłoni jej stylisko, solidny uchwyt wiadra, nigdy nie unikał pyłu węglowego i sadzy, lecz przeciwnie, chodził potem z ciemnymi smugami miału wzdłuż nozdrzy... Wybraliśmy się kiedyś pod Korab i tam stanęliśmy zdumieni. Zbocze, kiedyś puste, teraz podzielone było przez geodetów na małe pólka, przyszłe ogródki działkowe, i ludzie już wrywali tam perz, skopywali szpadlami ziemię, najgorliwsi pracowali nawet po zmroku i ci sadzili już truskawki i warzywa. Vladimir wybierał zawsze to poletko, na którym najwięcej było do zrobienia, i pomagał, zмагаł się z chwastami, pracował ze wszystkich sił i przy tym chętnie opowiadał o tym, co przeżył, zawsze kiedy przekopywał grunt, miał uczucie, że defloruje szpad

lem pannę ziemię... Pomagaliśmy wtedy kobiecie, która przychodziła z dzieckiem w wózku, to dziecko ciągle płakało, taki był skwar na tym zboczcu... Vladimir wystawiał na słońce swoje jasne kędziory, a ta kobieta podbiegała do dziecka, czasem wyjmowała pierś i dawała mu ssać... Kiedy wieczorem Vladimir żegnał się, zastrzegając sobie, że jutro przyjdzie znowu, ta kobieta, której zdawało się, że to Chrystus ponownie zstąpił na ziemię, pocałowała Vladimira w rękę... ale znów kiedy indziej, gdy Vladimir przerzucił węgiel do komórki na podwórku i zaczął opowiadać emerytce

O swoich problemach i o swej pracy, staruszkę ogarniał coraz większy niepokój, potem długo wpatrywała się we wbitą w pień siekierkę, aż zrozpaczona zdjęła fartuch i tę siekierkę przykryła... i odetchnęła dopiero wtedy, gdy odeszliśmy z Vladimirem!, nawet wybiegła za nami i patrzyła, czy rzeczywiście skręciliśmy do Hausmanów, czy już nas nie ma...

Z odtłuszczonego mleka robił śmietanę, z miazgi węglowej brylanty, z wróbla ptaka Feniksa, z kulawego zrobił sportowca, zawsze tam, gdzie czegoś brakowało, angażował swój talent, aby udowodnić, że omnia ubique, i że w minimum zawiera się maximum, że każde miejsce w świecie jest środkiem rajskiego ogrodu, podczas gdy wiszące ogrody z wolna obracają się w proch i pył, a w tym prochu wszystko, co piękne, stawia opór, w tej garści gliny wszystko zaczyna się od nowa...

Na Starej Poczcie była ładna kelnerka, taka puculo-wata

Cyganka, i Vladimir lubił tam przesiadywać

I pisać listy. I jak zwykle, prowokował komiczne sytuacje. Kiedy się przysiadłem, taki młody przystojniak właśnie opowiadał: Jak ją poznałem, miałem rękę

w gipsie, więc nauczyłem się obejmować ją tą łapą, z początku jęczała, ale się przyzwyczaiła. Chłopaki wymalowali mi na tym gipsie różności, jeden pisarz, który przyszedł na wieczór autorski do szpitala, ponieważ nie miałem książki, podpisał mi się na tej zagip-sowanej ręce... no i masz, zdjęli mi ten gips i ta moja dziewczyna, chociaż byliśmy tuż przed ślubem, mówi mi, że już nie jestem dla niej taki czuły jak kiedyś... i zostawiła mnie. A wczoraj — myślałem, że padnę z wrażenia. Bo kogo widzę? Tę moją dziewczynę, jak idzie z chłopakiem, który ma taką samą rękę w gipsie, co ja. Te dziewczyny wszystkie są tracone... Vladimir nadal pisał i warczał z ponurą miną: Mnie także zostawiła, piszę teraz do pani prokurator, sędzia poradził mi, żebym był dla niej uprzejmy... więc piszę już szósty list miłosny... ale słuchaj no, kochasiu, wiesz co to jest eksperyment Marton? Ja właśnie na to chodzę. Golizna. Film z gołymi babkami. Dokoła mnie druciki, a przy przyrodzeniu aparat pomiarowy. Film pornograficzny. Lampki się zapalają, strzałki aparatów kołyszą się, chyboczą. Takie badania psychiatryczne. Pani doktor Marton. I wiesz co? Te aparaty wykryły nawet, że mam kompleks Edypa. Kiedy matka rano wstaje, ja już czekam i niby przypadkiem przechodzę obok nagi. Wciąż niezła z niej sztuka. Udaje, że mnie nie widzi... Chłopak zamyślił się, z twarzą w dłoniach, niemal zasłonił sobie palcami oczy. A po namyśle powiedział: Płacę, wie pan, ta dziewczyna ma to chyba po ojcu, jej tatuś jest spod Karkonoszy, kiedyś wziął prawo jazdy i dowód i poszedł do rady narodowej zameldować nową osobę: Anton Hulik, Bóg. Dopiero po miesiącu złapali go na dworcu w samym podkoszulku, a był wtedy straszny mróz. A w domu wariatów nie

robili mu elektrowstrząsów, tylko zaordynowali tak zwane zwroty, po zastrzykach nic tylko rzygał i rzygał, i tak przez trzy miesiące, aż miał dosyć. I po pięciu miesiącach znowu był normalnym człowiekiem, hydraulikiem, i zwrócili mu prawo jazdy i dowód... Podniósł się, stuknął ceremonialnie knykciami w obrus i wyszedł. Vladimir z zapalem pisał dalej, wokół ust miał ślady po winie, kelner na pewno już mu niesie trzeci kieliszek, ach, co to będzie za list, to dopiero będzie list, prośba o zmiłowanie, to już czwarta strona, a Vladimir wciąż jeszcze nie ma z górki, tylko pod górkę, wciąż w tym maniakałnym nastroju, w którym powie coś, czego jutro będzie żałował... Zostawiłem Vladimira nad listem, pójdę lepiej na spacer na Szlos-berk, mój były lekarz, emeryt, z mojego rejonu, wabi sikorki wyciągniętą ku niebu dłonią, żeby przysiadły i dziobały orzeszki ziemne, zobaczył mnie i woła: A, już pan lepiej wygląda, no i po co się było zadręczać... fifififi! Chyba zmienił pan już dobór lektur, coś wesołego, tak? Pisma humorystyczne, prawda? Wczoraj zadusił się tu zajac w sidłach. Gdzie też się dziś podziała moja strojnisia, moja sikorka? To co, jeszcze się moczymy, moczymy się? No i dobrze, a co ze stolcem, już lepiej? Lepiej. No to wspaniale, to wielki triumf medycyny... Obróciłem się, żeby pan doktor mógł mi się lepiej przyjrzeć, oglądał mnie i ciągnął tym samym tonem: Dzieci też karmią ptaszki z dłoni, ale czasem któregoś złapią. Dzieciom nie można ufać. Ale wie pan co, tę butelkę wiśniówki, co mi pan dał, wypiliśmy z żoną przy choince, a jakże, wypiliśmy. Fififififi, gdzie ta moja sikorka, moja ptaszyna...? Która to godzina? No tak, chuligani zadusili zajaca, którego tu karmiliśmy całe dziesięć lat... Pochylił się i szepnął



mi do ucha, wpijając mi się palcami w ramię: I na co panu te samobójcze myśli...? Ja mu na to: To przecież nie ja, to Vladimir... A on, z naciskiem: Przecież to pan jest Vladimir... Fifififi, gdzie się podziała moja sikorka? Moja ptaszyna? Fififi... Vladimir dał się namówić przyjaciółom, żeby pójść z nimi szukać natchnienia w plenerze, w świecie zjawisk. Po dwóch dniach wrócił ze sztalugami, z mal-kastą, za to bez obrazu, ale jak urzeczony, niewyspany, olśniony. — Doktorze, niech mi pan da spokój z naturą! Malowaliśmy lasek koło Kladna i kiedy już skończyliśmy pejzażyk, nadjechała policja i zamknęli nas jako szpiegów, wrzeszczeli na nas do rana, kto zamówił u nas ten obraz, bo za tym laskiem, w prześwicie między drzewami, przy odrobinie wyobraźni można zobaczyć kladeńskie huty, więc gdyby wpadło to w ręce wroga, miałby czarno na białym, gdzie są nasze stalownie. Za lasem! Więc z tego prosty wniosek, że jesteśmy szpiegami! Doktorze, wolę wrócić do malowania na koszt wszechświata, wolę być znów szpiegiem niebios... Rok później dał się namówić Rot-bauerowi, żeby poszli malować na praskie peryferie. Malowali widok zakola Wełtawy z libeńskiego mostu. Tego popołudnia na Groblę Wieczności przyszedł po Vladimira Egon Bondy i chciał, żebyśmy wszyscy trzej poszli po zmroku nad Rokitkę i tam gdzieś sobie siedli, popijali i śpiewali ludowe pieśni, tę, którą Vladimir lubi! najbardziej, *Siedzi sokół na jaworze...* Powiedziałem mu, gdzie jest Vladimir, i poszliśmy po niego. I masz ci! Na głównej alei, ponad tłumem przechodniów, zobaczyłem głowę Vladimira, nie szedł sam, ale był prowadzony przez policję, z Rotbauerem, a za nimi podskakiwał emeryt, krzycząc: Dobrzy ludzie! Prowa

dzimy tu dywersantów, szpiegów! Vladimir uśmiechał się, niósł malkastę, oba obrazy nieśli policjanci, weszliśmy za nimi w ulicę Bożeny Niemcovej, a potem Rosenbergów i czekaliśmy. Po trzech godzinach czekania w barze Świat przy pilzneńskiej dwunastce zobaczyliśmy, jak Vladimir i Rotbauer wychodzą z budynku komisariatu. Później przy piwie Vladimir opowiadał: Ten emeryt zawiadomił policję, że za tym zakolem, które malujemy, jest Stocznia Rzeczna, ważny obiekt państwowy... Tłumaczyliśmy, że chodziło nam tylko o te drzewa, ale zabrali nas na przesłuchanie i... zeznałem, że płacą nam w dolarach, więc zaraz spisali protokół! Trzeba będzie znów wrócić do humanistycznej abstrakcji... Egon Bondy zaczął go besztuć: Do jasnej cholery, Vladimirku, ma pan więcej szczęścia niż rozumu. U mnie aż roi się od tajniaków, ale nikt o tym nie wie! A pana prowadzą w biały dzień aleją pełną ludzi. Kurwa fiks! Zazdroszczę panu tej sławy. I w dodatku płacą panu w dolarach! Vladimir lubił jeździć tramwajem, czekał, aż nadejdzie moment, kiedy konduktorka na zapas przedziur-kuje szczypcami kilkadziesiąt biletów. Zamykał wtedy oczy, łapał się za woreczek żółciowy i doznawał kilkunastu różnych stanów emocjonalnych jednocześnie... czuł się, jakby był tym plikiem biletów oraz ich perforacją, przeżył jeden z ataków swojej kolki żółciowej, która przypominała dziurkowanie jego wnętrzości, czuł, jak coś perforuje mu dwunastnicę... a gdy otworzył oczy, wysiadał i zastanawiał się, jak i gdzie sperforuje nową grafikę, która na zapas wpędziła go w traumatyczny stan w tramwaju. Taki był wrażliwy, lubił opowiadać, jak bał się tej chwili u krawca, który mu szył nowe ubranie, momentu, w którym krawiec

klęknie przed nim i zacznie brać centymetrem miarę na nowe ubranie... gdy z rewerencją, delikatnie, wsunie mu palec z centymetrem między nogi, żeby wziąć miarę na nogawki... i jak w trakcie tej ceremonii u krawca zemdłał. Ilekroć spadł gdzieś samolot, Vladimir interesował się każdym szczegółem.

Przeżywał katastrofę zarówno jako pasażer, wysypany wraz z pozostałymi w przestrzeń, jak też płonął z innymi podczas zderzenia z ziemią albo był rozrywany na strzępy wskutek detonacji silników, ale przede wszystkim czuł się jak samolot, który wali się prosto w ocean albo spada na ziemię lub rozsypuje się w powietrzu, a potem część po części, zależnie od wagi, spada na okolicę. Kiedy dowiedział się, że towarzystwo ubezpieczeniowe, aby udowodnić, że samolot padł ofiarą zamachu, zebrało resztki, poskładało jak należy i przywróciło samolot do pierwotnegostanu, krzychał z radości: To tak jak ze mną, ja też zawsze, raz w tygodniu, zbieram się do kupy...

Vladimir umiał wprowadzić się w stan chorobliwej niepoczytalności i eksplodować, czego efektem były jego grafiki. Dlatego był na przemian przesadnie chory i nazbyt zdrowy... i jakim go ktoś widział w jednym czy drugim usposobieniu, takim mu się wydawał. Ale podobnie jak Vladimir postępuje sama natura, ponieważ jego jeszcze nie było, kiedy ona już była, więc można powiedzieć, że Vladimir był jej uczniem, jej produktem, jej czcicielem... Pojechaliśmy kiedyś z Vladimiren! do brdskich lasów na grzyby. Właściwie nawet nie na grzyby, tylko chcieliśmy przejechać się po tym torze, na którym Egon Bondy położył się, ululany opiatami, żeby dać się bezboleśnie rozjechać, ale w nocy ten tor, na którym leżał Egon, został wyłączony z ruchu, więc obudził się rano nie w królestwie

ontologii, ale nadal na szynach, podczas gdy pociągi jeździły po sąsiednim torze. Kiedy przyszedliśmy na dworzec smichowski, było jeszcze sporo czasu do odjazdu, chodziliśmy więc po peronie i zachwycaliśmy się parowozem. Maszynista czyścił kondensator, gdy zapytałem: Panie Kopie, gdyby dostał pan podanie prosto w uliczkę, czy dałby pan jeszcze radę wbiec pod bramkę i strzelić gola? A pan Kopie, maszynista, były środkowy napastnik Połabianina Nymburk, odparł z dumą: A wie pan, że tak? Wie pan, że wciąż jeszcze lubię pobiegać za piłką? A pan to czyj? A ja mu na to: Jestem pańskim kibicem z Nymburka, z browaru. I pan Kopie, podczas gdy Vladimir nie posiadał się ze zdumienia, powiedział: Panowie, zbliża się pora odjazdu, czy mogę panów prosić? I ukłoniwszy się z powagą, zaprosił nas na parowóz. Wspięliśmy się na maszynę, pan Kopie poczekał, aż dyżurny ruchu da znak, przesunął dźwignię i pociąg ruszył. W trakcie jazdy opowiedział nam, jak za Smichowem pewien ojciec wciągnął syna na tory i dali się obaj rozjechać, jak widział, że syn się broni, ale ojciec był silniejszy, tak samo jak Abraham, który ofiarował swego syna Jakuba, tylko że Bóg w ostatniej chwili zrezygnował, podczas gdy on, pan Kopie, który by muchy nie skrzywdził, rozjechał ojca i syna, chociaż hamował, zdążył tylko zobaczyć, jak nogi lecą na boki... Vladimirowi ze wzruszenia stanęły w oczach łzy. Kiedy smuga nieszczęścia została za nami, Vladimir zapytał, czy nie mógłby potrzymać przez chwilę dźwigni prędkości. Pan Kopie powiedział, że czemu nie. Vladimir ścisnął dźwignię i wyglądał przez okno, potem wrócił na swoje miejsce i powiedział: W tej dźwigni czuje się cały parowóz! Cały pociąg! Cały tor. Ja mu na to: To tu jest

to miejsce, gdzie leżał Egon Bondy — i pokazałem, a Vladimir oznajmił: To *Strefa Apollinaire'a*, to co przeżyliśmy w trakcie tych paru minut. I stał w rozkroku, uszczęśliwiony... Aja, który najeździłem się parowozem tak, że czułem każdy jego detal i drgnienie, każdy podskok kół na stykach szyn, czułem to wszystko całym ciałem, ponieważ podczas wojny zostałem dyżurnym ruchu, byłem też w służbie ruchu, musiałem jeździć parowozem, żeby rozpoznać po jego ruchach, jakie usterki są na spojeniach, jakie uszkodzenie muszę zgłosić, żeby podkłady kolejowe znów były we wzorowym porządku... widziałem, że Vladimir przeżywa tę jazdę nie tylko jako doznanie dotykowe maszyny, ale i szyn, i w ogóle całego ruchu pociągu, znów miał te swoje rozszerzone oczy, i widziałem, że w tej chwili Vladimir naprawdę był pociągiem, parowozem i całym torem. I podczas gdy parowóz podtrzymywał miłosny kontakt z tendrem, zbliżał się i oddalał, na ile to było możliwe, na przemian czule i brutalnie, Vladimir zeszywniał i szepnął mi do ucha: Ale mi stanął. A gdy pociąg zatrzymał się w Zadniej Trzebani, pan Kopie wytarł ręce pakułami, a kiedy się z nami żegnał, tłumaczył się: Wiecie, panowie, Vojta Hulik, ten to miał taką czystą lokomotywę, że jeździł w białych rękawiczkach...

Kiedy Vladimir tworzył, pracował zwykle rozebrany do naga. Częściowo dlatego, że kochał nagość, ale przede wszystkim przystępował do prasy lub do miedzianej płyty jak do aktu miłosnego. W miarę jak wprawiał się w erotyczne, a więc i twórcze podniecenie, zawsze w taki sposób wyliczał czas, aby między ryciem i żłobieniem matrycy rozplynał się ten piękny łuk, rozpięty między erekcją i ejakulacją. Kiedy pracował przy prasie, rozmazywał na arkuszach swoje

nasienie. Wszystkie jego grafiki są wymazane tą lepką, delikatną, seksualną powłoką...

Pewnego razu wybraliśmy się z Vladimirem do Mielnika na ludmiłkę. W krypcie katedry Vladimir podziwiał kostnicę i dwie czaszki, których kości były przeżarte syfilisem, potem Vladimir zachwycał się miejscem, gdzie Wełtawa wpada do Laby, ponieważ Wełtawa była tam potężniejsza niż Łaba, i nie tracił humoru, bawiło go, że choć od Mielnika aż do morza rzeka powinna nazywać się Wełtawa, to nazywa się Łaba. Potem ruszyliśmy na piechotę do Berzkovic i wzdłuż muru domu wariatów chodziliśmy aż do wieczora, bo ten zakład tak się Vladimirkowi spodobał, że nawet nabrał ochoty, by kiedyś w nim zamieszkać... Potem wybraliśmy się do Libiechova, gdzie Vladimir, choć zapadł już zmrok, odkrył pod rozłożystym drzewem nad potokiem posąg, który nie miał głowy. W ten sposób nawiązaliśmy łączność z posągiem nad Rokitką, który także jej nie miał. Potem poprawiliśmy sobie smak po ludmiłce piwem, a w nocy poszliśmy drogą krzyżową do zrujnowanego kościółka. Świecił księżyc, więc z głębokiego cienia rozłożystych drzew alei wkraczaliśmy w wapienną poświatę księżyca. Na pagórku przy kościółku strasznie wiało, schroniliśmy się za murem i podziwialiśmy położony poniżej, oświetlony pięknie dom wariatów w Berz-kovicach. Potem Vladimir namacał drzwi i cicho je otworzył. Weszliśmy do rozwalonego kościółka, przez dziurę w ścianie świecił księżyc. Trzy chorągwie w uchwytych przy ławkach. Vladimir zrobił sobie legowisko na ołtarzu, położył się, pod głowę podłożył sobie cegłę, położyłem się obok niego, a że nie miałem czego podłożyć pod głowę, Vladimir oddał mi swoją

cegłę, a sam oparł głowę na przedramieniu. Księżyc oświetlał kościół tak, że aż oślepiał. Vladimir zszedł z ołtarza i przyniósł chorągiew, którą się przykryliśmy. Potem Vladimir uniósł nogę, czubkiem buta trącił wieczną lampkę, która nie świeciła, i rozbijał to ozdobne naczynie, zawieszzone na trzech cętkowanych łańcuchach, tak że naczynie dosięgło tego chlorowego księżycowego światła i zapłonęło, oślepiło nas... wahadło wieczności za każdym razem znikowało w ciemności jak nocny ptak, ale gdy pojawiała się w świetle księżyca, rozświetlało się to naczynie jak bażant nadzwyczajnej piękności, jak ptak Feniks, chwilę trwało w bezruchu, kiedy osiągnęło punkt szczytowy, po czym pod wpływem siły ciężenia i naturalnego ruchu buta Vladimira wracało w ciemność. I cały ten mechanizm, uwiązany na łańcuszku u stropu, pobrzękiwał cicho, kiedy ogniwa tarły o siebie jak płytki w chorym stosie pacierzowym. Vladimir przez całą noc miał otwarte oczy, patrzył na poruszającą się wieczną lampkę bez światła, nie mrugał oczami, leżeliśmy na wznak jak królowie z dynastii Przemyślidów ze swymi małżonkami... O świcie, gdy już się rozwidniało, Vladimir zasnął i uśmiechał się błogo przez sen. I kiedy tak leżeliśmy, przykryci po pierś odpustową chorągwią, widziałem w tym świetle, że na Vladirnirze leży trup świętego Waclawa, a na mnie przypadły wyszyte srebrnymi i złotymi nićmi nogi świętego, który lubił pić, lubił rozmawiać ze zwierzętami i został zakłuty przez rodzzonego brata, ponieważ nikt na tym świecie nikomu nie wybaczy, że chce żyć w pokoju kosztem pijaństwa, a zatem całego świata... Agonia i ekstaza były dla Vladimira jedną i tą samą parą drzwi, przez które wchodzi się i wychodzi,

ponieważ dla Vladimira wejść znaczyło umrzeć, a odejść — żyć. Vladimir nie był kawalarzem, nie wywracał rzeczy do góry nogami, lecz rzeczy odwrócone obracał na właściwą stronę. To znaczy, że narodzić się znaczyło dla Vladimira umrzeć, a umrzeć znaczyło narodzić się. Dlatego Vladimir podatny był na stygmaty, bynajmniej nie po to, żeby otwartymi ranami oddawać cześć Chrystusowi, jego ciało było usiane stygmatami pracy z metalem i środkami wyrazu ciężkiej harówki, jego ręce i nogi pełne były jęczących się ran. Tak kochał tę swoją fabrykę, że gdyby jeszcze odrobinę wyżej podniósł poprzeczkę swojej hysterii, z palców sypałyby się mu mosiężne opiłki, kaszałby skrawkami metalu, plułby stalowym pyłem... Zresztą żelazo i siarka, mangan i węgiel, wapno i woda i reszta minerałów, których natura użyła do budowy ludzkiego ciała, gdy dochodziło do kontaktu tych samych minerałów i metali z ciałem Vladimira, wszystkie te elementy krzyczały z uciechy, a Vladimir jedynie naśladował ich dążenie i zamiłowanie do pokrewnych metali, które umierając zmartwychwstają, wirując w królestwie przemian...

Kiedy wróciłem z Paryża, przez kilka godzin prowadziłem przed Vladimirem! konferencję prasową poświęconą temu, co tam widziałem. Vladimir był zachwycony: No nie, doktorze, ten Paryż to musi być coś cudownego, prawie jak Libeń, może nawet prawie jak Vysoczany. A gdy popuszczę wodze fantazji, Paryż jest tak piękny jak Zizkov. Po tym, co mi pan opowiedział, znów zakochałem się w Utrillu, w tych jego ścianach, w tych odrapanych ścianach, które potrafił tak pięknie namalować, że gdy tylko się na nie spojrzy, już chciało by się



wyciągnąć ptaka i na nie naszczać. Mówię panu, doktorze, ten Paryż musi być naprawdę cudowny...

Vladimir do wszystkiego podchodził z rytuałem, sakralnie. Do pracy przychodził zawsze pół godziny wcześniej, żeby móc bez pośpiechu się przygotować, jak ksiądz do mszy, a kiedy dostał list, z początku wcale nie mógł w to uwierzyć, wracał i jeszcze raz starannie odczytywał adres. Kiedy upewnił się, że to naprawdę do niego, kładł list na stole. Potem mył starannie ręce i jeszcze staranniej otwierał list. Potem robił kilka kroków i dopiero wtedy siadał, zakładał okulary i czytał powoli, po czym składał list i czytał jeszcze raz. A później wkładał list do walizki z setkami innych listów, z tysiącami innych zapisanych kartek. Podobnie kiedy pisał, również nie zabierał się do tego tak po prostu. Najpierw dokonywał zapisu w dzienniku, potem szedł w jakieś ustronne miejsce, najlepiej do knajpy, a gdy zamawiał piwo, prosił jeszcze o kieliszek wina owocowego, jeśli zaś list miał być zupełnie wyjątkowy, to o dwa. Kiedy już był pewien, że znalazł się w stanie łaski, zaczynał pisać jedną stronę za drugą, jego pisanie przypominało odkręcony do końca kran. Kiedy skończył, zapalał z namaszczeniem papierosa i próbował odgadnąć, jakie ten list wywrze wrażenie na czytelniku, a kiedy czuł, że list wywoła irytację, zamawiał jeszcze jedno wino, żeby mieć dość siły, by list zalepić i wrzucić do skrzynki pocztowej. Zawsze stukał palcami w skrzynkę i jeszcze sprawdzał palcem, czy nikomu nie uda się go wyciągnąć. Potem, następnego dnia, zgadywał, czy list już doszedł, i dociekał w duchu, wczuwając się w cudze oczy i mózg, jak bardzo ten list kogoś zirytował, zranił, a czasem nawet sprawił komuś radość. Listy Vladimira były zawsze

osobiste i agresywne. Im bardziej Vladimir był przekonany, że list zrani adresata, tym lepsze miał samopoczucie. Kiedy Vladimir miał iść z wizytą, zawsze przygotowywał się przez całe popołudnie, starannie się kąpał, golił, sprawdzał w lustrze, w której marynarce lub swetrze jest mu najbardziej do twarzy. Kiedy wchodził po schodach lub w bramę domu, do którego szedł z wizytą albo dokąd był zaproszony, omdlewał na samo wyobrażenie spotkania, robiło mu się słabo na myśl, co też powie... Na każde spotkanie szykował się jak na randkę z dziewczyną, przed którą, być może, będzie mógł albo musiał rozebrać się do naga. Podobnie podchodził do swojej pracy. Zawsze był doskonale przygotowany, z góry wiedział, jak będzie ubrany lub rozebrany. Każdy kontakt z prasą był mszą, pochodem, akademią. Katolicki rytuał wszedł Vladirowi w krew bezwiednie, podświadomie, dlatego każde wydarzenie związane z Vladimirem miało wymiar tajemnicy i było nią naznaczone. Ale ta obrzędowość pozwalała Vladirowi powiedzieć w towarzystwie nie tylko to, co ma przeciwko niemu i poszczególnym jego członkom, ale też atakować w taki sposób, że ugodzeni spadali z krzeseł, ta obrzędowość była dla Vladimira osłoną, zza której mógł delikatnie wyświadczać się ze wszystkich swoich kompleksów, ze wszystkich swoich seksualnych i erotycznych obscenizmów, tak więc Vladimir potrafił niespodzianie hipnotyzować ludzi, tak jak pyton tygrysi hipnotyzuje króliki. Vladimir z każdym w towarzystwie całkowicie się zgadzał, każdemu przyznawał rację, naraz jednak znajdował w sobie dość siły, by powiedzieć: Ale za pozwoleniem..., po czym to, co powiedział wcześniej, odwracał, i tak jak to się dzieje podczas mszy, przemieniał zwyczajny opłatek i miarkę

białego wina w swoje konkretne ciało i w swoją krew, którą mazał obecnych czy tego chcieli, czy nie...

Vladimir nie lubił dialogu. Owszem, ale tylko samą jego metodę, to, w jaki sposób dopytać się, któredy się idzie na dworzec i temu podobne. Prawdziwą dialektykę rozumiał jedynie jako sposób, w jaki należy wieść spór z samym sobą i przez walkę przeciwieństw przejść do monologu. Monolog, to była specjalność Vladimira...

Vladimir nie dość, że był postacią niczym z kroniki wypadków, z kronik miejskich wszystkich popołu-dniówek, to zawsze potrafił zachować dystans wobec wydarzeń, w które jednocześnie angażował się bez reszty. Pojechaliśmy kiedyś do Klanovic i kiedy szliśmy wzdłuż domków i willi, uwagę Vladimira zwróciła obwiązana łańcuchem sosna, podcinana przez właścicieli posesji w taki sposób, by upadła między dom i garaż. Zbliżała się ostatnia faza tragedii drzewa, chwila, w której pośród nawoływań, za pomocą piły i siekier zostanie powalone na ziemię. Pień uwiązany na wielokrażku, na jakim w portach przyciąga się statki do mola, coraz bardziej się pochylał, Vladimir poruszony do głębi patrzył, jak robotnik jeszcze raz parokrotnie poruszył dźwignią, jak gdyby coś pompował, po czym stuletnie drzewo znalazło się wreszcie w fazie upadku, powoli chyliło się ku ziemi, lecz ku przerażeniu wszystkich rozgałęziona korona przechyliła się nieco na bok i drzewo o mały włos, a zwałyby się prosto na garaż i rozpląszczyłoby go na ziemi. — Aja-jaj! — jęknęli osłupiali uczestnicy zdarzenia. Lecz oto Vladimir doskoczył do wielokrażka, paręnaście razy poruszył dźwignią i łańcuch przyciągnął pień, tak że ten padł między garaż i dom. Wszyscy odetchnęli

z ulgą. A Vladimir powiedział: Panowie, jak żyję, nie ścinałem sosny, ale jestem narzędziowcem w CzKD na Vysoczanach, a to mówi samo za siebie! Innego razu pojechaliśmy z Vladimiren! do Doubravy, bo chciał zobaczyć gminę, przez którą biegnie jedyna szosa, która jednak urywa się za wsią, wpada do Łaby, potem pojechaliśmy na rowerach do Bysziczek, gdzie znów jedyna droga, która tam wiedzie, okrąża wieś i znów trzeba jechać z powrotem, ponieważ podobnie jak szosa w Doubravie, tak i ta droga kończy się tutaj, więc trzeba wrócić, żeby móc jechać naprzód. A oto co zobaczyliśmy w tych Bysziczkach: mieszkańcy wioski stali w bramie i zagłądali na podwórze, na murze siedzieli chłopcy i zagłądali na podwórze, z za sąsiednich płotów wystawały głowy mieszkańców wsi, którzy zagłądali na podwórze, skąd dobiegał wysoki dźwięk piły tarczowej. Vladimir od razu odgadł, co się tam, na tym podwórzu stało. Weszliśmy, i ja także, jak wszyscy, patrzyłem, zamarły w bezruchu... Na środku podwórza zawodziła piła tarczowa, a przed nią niemal klęczał człowiek, jak ksiądz podczas mszy, z głową wetkniętą po kark w pracujące wciąż urządzenie, które za każdym obrotem wyrzynało w jego czaszce i karku karb szeroki na centymetr, powierzchnia piły była zalana krwią, która połyskiwała w słońcu, ręce zmarłego leżały w tej schnącej krwi, a wszyscy, którzy na to patrzyli, zamarli w bezruchu, ponieważ ten widok był tak tragiczny i zaskakująco piękny, że pod jego wrażeniem wszystkie kończyny wrażliwych ludzi znieruchomiały, skostniały niczym w gipsie. Jeden jedyny Vladimir doskoczył do piły i nacisnął guzik pod spodem, a kiedy się wyprostował, rękaw miał uwalany krwią, dźwięk piły tarczowej słabł, a kiedy ucichł zupełnie,

obecni odzyskali władzę w członkach, ale rozchodzili się jak reumatycy, tylko kilku śmiazków zbliżyło się do miejsca dramatu, ponad którym wznosiła się ku słońcu kędzierzawa, skąpana w blasku słońca głowa Vladimi-ra. Vladimir uniósł ręce w świetle dnia i wołał: Nie dotykać, aż przyjadą z kryminalnej. Nie dotykać! Wracaliśmy na rowerach, powalany krwią rękaw Vla-dimira błyszczał i szybko schnął na słońcu, Vladimir z uniesioną głową, nie mrugający oczami, przebijał się przez pęd powietrza, jak zawsze, gdy przydarzyło się jakieś nieszczęście, był dumny, że los go tam zawiódł... Kiedy Egon Bondy się o tym dowiedział, długo przyglądał się swoim dłoniom, czerwieniał na twarzy, ale w końcu się opanował: Nie będę się już przez was denerwował. Muszę teraz pójść tam, dokąd żaden z was za mną nie pójdzie, tam gdzie nic mnie nie zrani... na najwyższe piętro filozofii hinduskiej, w stan nirwany... A ponieważ Vladimir jest zdolny do wszystkiego, odepchnę za sobą drabinę, żebyście nie mogli za mną pójść... ale ta szosa prowadząca do Doubravy i wpadająca do rzeki, ta droga do Bysziczek, które można objechać dokoła, a droga naprzód jest drogą powrotną, pojedę tam, skontrolować to osobiście... to moja droga i szosa, to jest droga Egona Bondy'ego... Kurwa fiks...!

We Vladimirze zakochała się stara pani Szulcova, która wygrzebywała z pojemników na śmieci i skrzyń z odpadkami stary papier, szmaty i złom i sprzedawała je w zbiornicy surowców wtórnych. Nosła czarne rękawiczki, na policzki kładła róż, a ponieważ się nie myła, ten makijaż rozwarstwiał się na jej twarzy i łuszczył jak francuskie ciasto na napoleonkach. Wbiła sobie do głowy, że Vladimir mógłby być księdzem

u adwentystów. Żeby pozyskać względy Vladimírka, chodziła do niego sprzątać, kiedyś przyniosła mu marynarkę po zabitym murarzu, któremu wbito nóż w plecy, kiedy indziej przyniosła ubranie po zamordowanym, którego wrzucono do dołu z wapnem na budowie, a innym razem przyniosła nam niedopitą butelkę likieru, a kiedy wypiliśmy ten zajzajer, powiedziała, że znalazła ją w pojemniku na śmieci. Raz przyniosła taką nowoczesną rzeźbę ni to kota, ni psa, ale potem szepnęła Vladimírkowi na ucho, że w środku jest kot, którego betoniarze dla draki wrzucili w płynny beton, a potem puścili wolno i kot zeszywniał, i zdechł w tym betonowym pancerzu. Ale raz po Gwiazdce pani Szulcova przyszła i opowiedziała Vladimírowi, jak to przygarnęła do mieszkania Cyganów, a ci, kiedy dymali się w nocy, wydymali po ciemku i ją, więc teraz woli spać w opuszczonym magazynie, gdzie jest jej dobrze, tylko że i tam w nocy dokuczają jej szczury, tak wygłodniałe, że pożarły jej chałkę, którą dostała od Vladimíra, chociaż trzymała ją na piersi. Tak więc Vladimír pewnego wieczora, kiedy zapadał zmierzch, kupił chałkę i poszedł na Kotlasę. Na rogu ulicy Na Žertwach spotkaliśmy Egona Bondy'ego, kiedy Egon zobaczył tę chałkę, już z daleka machał do nas ręką. Vladimír opowiedział mu wszystko o pani Szulcovej, o tym, jak pociął tę marynarkę ze śmiertelną raną kłutą, jak ją nalepił na płótno i jak chce ten materiał domalować, a potem pożegnał się z nami mówiąc, że chce spać z panią Szuicovą, żeby na własnej piersi stoczyć z tymi szczurami nocny bój o chałkę, i że rano opowie nam, co z tego wynikło, bo łatwo jej tym szczurom nie odda. Egon Bondy rozgarnął gęste krzewy kolcowoju, wlaźł tam, tak że tylko nogi mu

wystawały i iamentował w tych krzakach przy drodze:

Ajajajajaja! Ajaj! Włóczędzy dharmy są w Pradze! A ja nic o tym nie wiem... Jaj! Dziś chyba porządnie uchlam się ze Zbyńkiem Fiszerem! Jaj!

Pewien krawiec w barze Świat patrzył na świat jedynie przez pryzmat *Protokołów mędrców Syjonu*. Zwrócił się raz do Vladimira, żeby powrózył mu z charakteru pisma. Vladimir mówił mu: Pańskie pismo wskazuje, że jest pan odludkiem, melancholi-kiem. Z litery b wynika, że powinien pan być zostać leśniczym, zabić własną żonę, zakopać ją w lesie i niech jej sobie potem szukają! Krawczyk był tak zachwycony tą wizją własnej żony zakopanej w lesie, że od tej chwili zwracał się do Vladimira: Mistrzu! Potem na chwilę zrobiło się zamieszanie, bójka Cyganów, rumor, wywracanie stołów. Kiedy pani Vlasztovkova wywlekła uczestników bójki i mocnymi kopniakami sprawiła, że przebiegli przez cały plac i wywalili się dopiero pod pomnikiem Podlipnego, żadnych szkód nie stwierdzono. Tylko jeden ślad po ciosie pięścią w futrynę drzwi. A obok nas jakiś człowiek pisał list, pół godziny ślinił ołówek, aż napisał zdanie: Z szacunkiem wyciągam do ciebie obie ręce. Vladimir po tej bójce do utraty tchu i otarcia nadgarstka podzielił się z nami refleksją: Ach, tak samo biliśmy się z bratem, a gdy pogodziliśmy się, jak na braci przystało, bawiliśmy się w barany barany tryk. A w nocy atak epilepsji, poobijana czaszka. Mężczyzna poślinił ołówek i napisał następne zdanie: Droga Cieniu, nie szarpmy sobie nerwów. Pisał ten list, był to już starszy człowiek, miał fioletowy nos, fioletowe żyłki na nosie, grube jak dżdżownice. A krawiec, zachwycony sobą w roli leśniczego, który zakopał własną żonę, powiedział: Mistrzu, ma pan piękną

marynareczkę. Kołnierzyk szóstka, plecy też szóstka, to moda z Ameryki. Centymetr pod pepek, puścić w dół, na trzy palce od talii założyć... Wyciągnął centymetr, a kiedy chciał wziąć Vladimirowi miarę na spodnie i dotknął go w kroku, Vladimir rozlał piwo...

Kiedy Vladimir się rozwodził, jeden oficer w gospodzie Za Wiatrem przechwalał się: Rób pan jak ja, wrzep jej pan parę pasów! Po miesiącu spotkaliśmy tego oficera Na Przystanku, wyglądał jak siedem nieszczęść, wodził dokoła błędnym wzrokiem. — Panowie, chodźcie ze mną na jednego — załkał. Po czym, zalewając się łzami, opowiedział nam, co się stało: Zona wyrzuciła mnie z domu; żeby jej pokazać, jak bardzo żałuję, rozkręciłem maszynę do pisania do ostatniej śrubki, ale ona tego nie rozumiała. Powieszę się, nie mogę spać, a jeśli już, to tylko na stojąco, przesunąłem kawałek szafę i teraz śpię z żalu tylko na stojaka... A potem znów nadszedł człowiek, rozchylił koszulę i pokazał nam, że zamiast strun głosowych ma metalową rurkę. Musiał się komuś zwierzyć, Vladimir, jak zawsze w roli ściany płaczu, zapytał: Jak się nazywasz? Mężczyzna wyjął notes i napisał: Vaclav Kopecky. A potem pisał dalej: W ciągu ostatnich dwóch lat dostałem 2 800 zastrzyków, w ciągu dwóch lat 28 operacji, w poniedziałek znów będą mi zaszywać rurkę... moja ukochana żona odeszła z innym... bolą mnie nerwy... ukradła mi 500 koron... wiem, że na imię mu Jarek... ale inni ją znają, jak ją spotkam, każę ją zamknąć...

Pani Vlasztovkova jest opalona, Vladimir spogląda na nią ukradkiem, na tę olbrzymkę, która odpycha od siebie napełnione pilsnerem kufle tak, że suną po kontuarze wprost do rąk pijaków. — Czym jestem?



— pyta pani barmanka. Vladimir: Jest pani różowym prosiątkiem w kolorze wędnącej piwonii. Na to pani Vlasztovkova ze śmiechem: A pan czym jest? Vladimir bez wahania: Stacją meteorologiczną, która zamiast mózgu ma kopyto do drutowania naczyń. Potem wszedł młody człowiek, stanął w progu i rozglądał się, komu by dać w pysk, wspaniały okaz czeskiego zabijaki, typ, który nie myśli o niczym innym, tylko o wymierzaniu sprawiedliwości. Nie widząc nikogo odpowiedniego, otworzył kopniakiem drzwi i wyszedł, zasepiony, w kapeluszu nasuniętym na wypatrujące celu oczy. Wychodzimy na dwór, przechodzimy pod szlabanem, krzew białej róży pnie się po budce dróżnika. Vladimir: To tak, jakby ktoś na tę budkę narzucił firankę... Chorzy na umyśle obywatele dobrowolnie ustawiają się w kolejce po *Wieczorną Pragę*. Bluzka w kolorze jaśminu. Zielona spódnica. Vladimir: Niech pan spojrzy, doktorze, zresztą pan i tak mi tego nie kupi! Przydałyby mi się takie farby, jak w niedzielnym wydaniu *Rudego Prava*, tuzin sieni palonej, dwa tuziny czerni, jeden tuzin cynobru, ale pan i tak mi tego nie kupi, a może jednak? No to jeszcze dwa tuziny błękitu paryskiego, jeden tuzin umbry, jeden bieli, ale pan i tak mi tego nie kupi, a może jednak? Naprawdę? No to jeszcze dwa tuziny arkuszy papieru i wtedy pan zobaczy. Kiedy ta moja dziewczyna była dla mnie całym światem, zrobiło mi się jej żal, więc żeby miała trochę rozrywki, symulowałem przed nią, że się powiesiłem. A ona co? Ha! Kąpała się nago! O dwunastej w południe! Wędkarze nie mogli zarzucić wędek, rowerzysta zjechał z drogi prosto w lebiode, aż na własne życzenie wylądował w rzece, no, niech pan sam powie, była z niej niezła sztuka, prawda? Może nie? Co? Po

południu wyrzuciła mi fioletową farbę do klozetu, wyciągałem ją stamtąd rękoma. Ale wtedy miałem do tego pełne prawo, przecież byłem jej mężczyzną... Tęsknię za nią, doktorze, kim jestem bez niej... I Vladimir zawrócił spod Palmovki w stronę szlabanów i płakał, z oczu trysnęły mu dwa strumienie wody, płakał jak bóbr, z uniesioną głową niósł swój smutek jak laur, jak pochodnię, a ludzie, którzy szli z naprzeciwka, zwłaszcza kobiety oglądały się za nim, nozdrza się im rozdymały i co druga miała na niego ochotę...

Gdy Vladimira zaczynało kłuć w piersiach lub gdy dokuczał mu reumatyzm w ramieniu, zawsze kupował wtedy zwyczajną żytniówkę, tak zwaną czystą bądź żytnią, i nacierał nią sobie piersi lub łokieć tenisisty. Kiedy bardzo bolał go kark, robił sobie na karku okłady z chustki namoczonej w żytniówce, kiedy miał gorączkę, wypijaliśmy pół butelki, a resztę wylewał na ręcznik i owijał nim sobie klatkę piersiową, ponieważ tak samo kurowała się jego babcia. Zresztą przed każdą zaliczką i każdą wypłatą wiedzieliśmy z góry, jaką gorzałkę sobie kupimy, wiedzieliśmy to już z niemal rocznym wyprzedzeniem, wystawaliśmy przed sklepami monopolowymi i wybieraliśmy z namysłem, spieraliśmy się, która najbardziej odpowiada nastrojowi, w jakim akurat byliśmy. Czasem kupowaliśmy dwa gatunki alkoholu i mieszaliśmy je, i tak na przykład butelka rumu najlepiej smakuje wówczas, gdy się ją zmiesza z likierem wiśniowym, butelka rumu jest wielkim przysmakiem także wtedy, gdy się ją zmiesza z zielonym pepermentem, ta mieszanka nosiła nazwę rotmistrz, a innym razem mieszaliśmy żytniówkę z rumem, otrzymując tak zwaną murarską... albo też

wypijaliśmy każdą butelkę oddzielnie, ale wyłącznie małymi kieliszkami... aż stało się to rytuałem. Zamykaliśmy butelkę w kredensie, który zostawiła nam gospodyni domu, za każdym razem otwieraliśmy, z namaszczeniem napełnialiśmy kieliszki i znów zamykaliśmy butelkę, wachaliśmy zawartość kieliszków, stukaliśmy się i wypijaliśmy, każdy według swojego zwyczaju, czasem jednym haustem, kiedy indziej upijając po łyżku, smakując, a gdy dopiliśmy, znów przez chwilę coś pisaliśmy, ale nim minął kwadrans, już znowu staliśmy przed kredensem i otwieraliśmy go, jak ksiądz główny ołtarz, i znów napełnialiśmy kieliszki i znowu piliśmy, i dziwiliśmy się, jak mało ubywa z butelki, ale z butelką było tak, jak z urlopem, który z początku mija powoli, ale w ostatnim tygodniu dni lecą jeden za drugim, jak kieliszki do naszych złaknionych gardeł, ponieważ w wódce ceniliśmy zawsze to namacalne uczucie, że stajemy się coraz to lżejsi, i że ogarnia nas euforia, że uśmiechamy się głupkowato i że ten alkohol, i to otwieranie i zamykanie kredensu łączy nas aż do chwili, gdy zgodnie stwierdzimy, że tego kieliszka już nie powinniśmy wypić... A potem każdy szedł chwiejnym krokiem do swojego łóżka i obserwowaliśmy, jak alkohol dostaje w naszych wnętrzościach i w głowach przeciwny znak, jak zmienia się w piękny sen, który kończył się nad ranem bólem głowy... I nikomu z tej rezerwowej, opróżnianej na raty butelki nie daliśmy ani kropelki, na ten cel mieliśmy inne butelki, to była nasza tajemnica, kiedy ktoś przyszedł, chowaliśmy kieliszki, każdy pod swoje łóżko, żaden z nas nie wypijał bez drugiego ani kropli, ponieważ to była tylko i jedynie nasza sprawa, to samo jak jest do dziś z moim piciem kawy, kawę muszę pić tylko

i jedynie sam, sakralnie, smakować każdy lyk kawy w samotności, wypalając przy tym trzy mocne papierosy i wprowadzając się w tak piękny nastrój, podobny do medytacji, że gdy tylko ktoś przyszedł, gasiłem papierosa, nie dopijałem kawy, przerywałem ten obrzęd w połowie, tak samo jak wtedy, gdy z Vladimirem otwieraliśmy i zamykaliśmy piękny kredens, który, gdy Vladimir definitywnie opuścił Libeń, na jego cześć otwierałem i piłem sam, ale bez Vladimira była to profanacja hostii, więc odkupiłem ten kredens od pani gospodyni i siekierką, tą, którą Vladimir przede mną chował, tą siekierką porąbałem ten sprzęt kuchenny i spaliłem po kawałku w piecu, nasłuchując, jak płomień huczy z werwą i syci się tym drewnem, przesiąkniętym gorzałką i wspomnieniami...

Vladimir umiał, tak samo jak ja, rozmawiać ze zwierzętami, gdzie tylko spotkał kotkę, zaraz wysuwał do niej palec i dotykał jej nosa, nawiązywał z nią kontakt, i mawiał: Doktorze, kto przestaje ze zwierzętami, tym samym przestaje z Bogiem, bo za jednym zamachem łączy ze sobą, jednoczy to, co najniższe z najwyższym i w ten sposób zamyka krąg, tak samo jak ja, gdy ze wszystkich tych odpadów fabrycznych tworzę grafikę, by pomknąć w ślad za najwyższymi porywami mego ducha.

Chacha...! I zdarzyło się, że gdy któregoś razu wyszliśmy nad Kelerkę, tam koło stawu, gdzie kiedyś rosły wierzby, jak z wierszyka Erbena, kiedy szliśmy zajrzeć do gospody Pod Gadającym Psem, gdzie naprawdę był wilczur, który całkiem wyraźnie posyłał klientów do diabła, i jeszcze wyraźniej powiedział gównu, wracaliśmy przez cmentarz prosecki, do ostatniego metra poświęconej ziemi zarośnięty bluszczem, doszliśmy do proseckiego kościółka,

a że był otwarty, weszliśmy do środka, ponieważ ten kościółek obchodził niedawno prawie tysięczne urodziny... a tam sprzątaczką wycierała ławki i chodził za nią piękny kocur, taki, jak lubię, bury, w białych skarpetkach, z białym gorsem i różowym noskiem, ten kot chodził po ławkach, a gdy sprzątaczką przyklekła i wycierała ołtarz, kot wskoczył za nią na podium, usiadł przy dzwonku, którym dzwoni się podczas podniesienia i patrzył z taką miną, jakby był ministrantem albo kościelnym albo kimś jeszcze ważniejszym, jak domyślał się z lękiem Vladimir... Potem sprzątaczką skończyła, przyklekła i pokłoniła się głęboko, a kot szedł za nią, zamknęła kościół i weszła do plebanii, a kot tuż za nią. Kiedy w niedzielę przyszliśmy z Vladimirem na mszę, było tak, jak przepowiedział Vladimir. W czasie sumy kot siedział obok dzwonka i patrzył na ołtarz w taki sposób, że kiedy obejrzeliliśmy się w pierwszej ławce za siebie, zobaczyliśmy, że na żadnej ludzkiej twarzy nie było widać tyle pobożności i tyle mądrości, co u tego kota, tak że Vladimir szepnął do mnie, że ten kot, wpatrujący się z miłością w odprawiającego mszę proboszcza, rykoszetem nawiązuje łączność z samym Bogiem, a znowu Bóg za pośrednictwem proboszcza jest w ścisłym kontakcie z kotem, tak więc w wyjątkowych wypadkach koty wysuwają się przed ludzi małej wiary i w niebie musi być mnóstwo kotów. Kiedy Egon Bondy usłyszał o tych rozważaniach, powiedział ze strapioną miną: Muszę się położyć, kurwa fiks, skąd temu psychopacie przychodzą do głowy takie pomysły? Nie będę się kładł, padnę tutaj, tak jak stoję, niech mnie odwiozą karetką, ale nie taką zwyczajną, tylko tą z migającą niebieską lampą na przodzie... ależ znów będę miał piekielną noc...!

Pewnego razu Pod Miastem Rokycany Vladimir zamarł w bezruchu, wpatrzony w kąt. Spoglądam na Vladimira i widzę, że coś niezwykłego dzieje się w kącie gospody. — Zwacz — rzekł Vladimir — jaskółki w locie — dodał, gdy wciąż nie rozumiałem i poruszył palcem wskazującym dolne uzębienie. — Aha — powiadam, nawet się nie odwracając — mamusia wybiera tam łyżeczką z termosu ciepłą kaszkę, najpierw ogrzewa ją w ustach... — Albo studzi — dodał Vladimir, a ja ciągnąłem dalej: A potem karmi dziecko z ust do ust. Vladimir przytakiwał: Nie. A ja kręciłem przecząco głową i powtarzałem: Tak. — Aha — zawołałem cicho

— zakochani całują się z języczkiem i ona go prosi o ślinkę. Vladimir pokręcił przecząco głową: Tak. Przytaknąłem z uciechą i powiadam: Nie. Vladimir: Doktorze, niech mi pan obieca, że jak i ze mną tak będzie, to też będzie mnie pan... tak. Ja mu na to: Obiecuję — i pokręciłem przecząco głową. Potem odwróciłem się, żeby poznać przyczynę wzruszenia Vladimira. Przy stole siedzieli dwaj przyjaciele, jeden przeżuwał starannie, a drugi ledwo poruszał ustami... Aż wreszcie zobaczyłem! Ten, który starannie przeżuwał, akurat wypluł na talerz przeżutą kiełbasę, a ten bez zębów zajadał za pomocą noża i widelca to, co przyjaciel mu przeżuł, jakby to był kotlet mielony.

— Ungelt — powiedziałem. Vladimir zamyślił się i kręcił przecząco głową, ale ponieważ się uśmiechał, widziałem, że patrzy na to malowidło na ścianie, przedstawiające starca, którego karmi piersią piękna młoda kobieta. — To sytuacja podbramkowa — stwierdził Vladimir. Ja mu na to: A jak była wojna? Vladimir szepnął: Coś okropnego... wie pan, że kiedyś chciałbym spróbować? Wszedł ktoś miejscowy, chyba przy

głup, podszedł do naszego stołu, strzelił z całej siły obcasami i zameldował: Panie Eliaszu, tę zieloną sikawkę przemalowaliśmy na czerwono! Vladimir odparł: Ja nie jestem Eliaszu, ja jestem Hiob. Eliaszu to ten — wskazał na mnie. Więc ten cudowny debil zameldował jeszcze raz, tym razem mnie, że tę czerwoną sikawkę przemalowali z powrotem na zielono...

Vladimir obserwował przez lornetkę kruki lecące powoli znad Libni, nad Szlosberkiem, gdzieś do Chabrów. Potem odłożył ją i powiedział: Doktorze, najmądrzejsze ptaki na świecie to kruk i wrona. Żadnych lotów w szyku, żadnych paramilitarnych szyków na niebie, każdy leci jak chce, a i tak osiągnie cel. A jakie są przy tym skromne. Każdy z nich to taki czarny Diogenes. Kiedy przysiadą na polu, dobierają się do kiełkującego zboża, a jak nie ma zboża, to siadają na ściernisku, a jak już nie ma ścierniska, to na stogu siana albo na gnoju, więcej im nie trzeba. Ja teraz włożę ten mój czarny rabinacki kapelusz, jakbym posadził sobie na głowie kruka. I na ich cześć kupię też sobie czarny golf. Te ptaki wiją sobie gniazda i lęgną się tysiącami w koronach drzew koło pałacu barona Chotka w Velt-rusach, a kiedy przyjdzie zima, obsiadają wszystkie drzewa w Bohnicach, dlatego wariaci nazywają je bohnickimi kurami. Te ptaki, stare kruki, z daleka wyczuwają proch strzelniczy, więc jak ktoś idzie ze strzelbą, to odlatują. Te ptaki, doktorze! Doktorze! Widział pan kiedy na drodze rozjechanego kruka? Bo ja nie. Jaskółki, drozdy, bażanty, kuropatwy, zajace, ale nie kruka! A dlaczego? Bo kruk ma taki precyzyjny radar, że odfruwa bez pośpiechu, ale niemal tuż sprzed maski nadjeżdżającego samochodu. Gdybym ja miał taki mózg jak kruk, dokonałbym postępu w grafice

O pół wieku. Powiadam panu, doktorze! Kruk to mój ptak... Szliśmy tak przed siebie, aż wstąpiliśmy na piwo do gospody przy ulicy Na Okręcie, do pana Miillera, tatusia tego najszybszego hokeisty, którego przywieźli martwego z Garmisch-Partenkirchen i nikt nie miał pojęcia, co tam się stało. Vladimir długo przyglądał się panu Mullerowi, ale ten był wesoły, nalewał piwo

I żartował, jakby nigdy nic. —To rozumiem — powiedział z uznaniem Vladimir — to tak jak u kruków — dodał, ale kiedy wentylator wessał dym, na ścianie ukazała się fotografia kędzierzawego hokeisty, wspartego na kiju hokejowym, łyżwy połyskiwały mu tak samo, jak ta jego czupryna, a szerokość uśmiechu dorównywała rozpiętości łyżew. W rogu ramki biegła na skos czarna tasiemka. Pan Müller płukał kufle i, patrząc na zdjęcie, powiedział: Wystarczy, że spojrzę w tę stronę, a łyzy same mi płyną...

Na Libni, na Grobli Wieczności pod numerem 24, w tym skrzydle na tyłach kamienicy, gdzie mieszkaliśmy z Vladimirem, był kiedyś warsztat kowalski. Nie dochodziło tam słońce, tę tylną oficynę dobudowano z konieczności, więc gdy dopiero wstawał świt lub gdy było pochmurno, nie musieliśmy zapalać światła, ale kiedy słońce prażyło w zabudowania, fasady i dachy naprzeciwko, w tych naszych dwu pokojach było ciemno, więc paliliśmy światło. Aby zaś paradoks sięgnął szczytu, w tym naszym mieszkaniu najzimniej było w maju i w czerwcu, dopiero wtedy ściany tajały po tych miesiącach zimowych, każdy kto wszedł z ciepłego podwórza do naszego mieszkania, wzdrygał się, jak gdyby wszedł do lodówki. Ale znów zimą te marglowe mury dopiero oddawały ciepło, które zakumulowało się w nich podczas gorących miesięcy let



nich, tak więc nie musieliśmy nawet palić w piecu. Vladimir nie palił zimą w ogóle, jedynie latem, kiedy przychodziły te letnie chłody. Ponieważ Vladimir studiował wtedy Leonarda da Vinci i jak on chciał być wynalazcą i racjonalizatorem, zamontował przy oknach tak zwany system zwierciadlany Vladimira, który znakomicie zdał egzamin. Znalazłem gdzieś albo skądś wziąłem, sam już nie wiem, może sobie kiedyś przypomnę, jak wszedłem w posiadanie tych luster, w każdym razie przyniosłem dziesięć wielkich prostokątnych luster, które zmieściły się w sam raz między oknami i na framugach wewnątrz okien naszych pokojów, więc zgodnie z prawem odbicia światło z dworu rykoszetem padało na sufit, który w tych ciemnych pokojach jaśniał tak, że każdego, kto tylko wszedł, oblatywał strach. Mało tego: Vladimir wykorzystał pozostałe lustra, do pary oszklonych drzwi przybił gwoździkami, od wewnątrz, po parze luster, więc każdy kto wszedł i chciał wyjść, gubił się, ponieważ widział w lustrze kawałek pokoju za sobą; ale i tego mało: Vladimir przyśrubował do ścian na końcu pokoju dwa olbrzymie lustra ze zlikwidowanych restauracji, lustra na całą ścianę, więc każdego, kto zaglądał z podwórza, zawsze oblatywał strach, że widzi Vladimira albo mnie podwójnie, albo całą gromadę ludzi, podczas gdy byliśmy tam tylko we trzech. I zdarzyło się, że kiedy przyszła posprzątać u nas za darmo pani Szulcova, ta, która chciała, żeby Vladimir został księdzem i przynosiła mu ubrania po zabitych, które po tragicznych wypadkach dostawała od portierów na Bulovce, pani Szulcova weszła, postawiła przy drzwiach wiadro ze szmatą i nie wypuszczając klamki z dłoni ciągnęła tę swoją gadkę o bożym powołaniu, które przyśniło jej się w nocy,

i o Vladimirze, ale przez to lustro w drzwiach tak jej się wszystko pomieszało, że myślała, że to wiadro, które się w nim odbijało, stoi w korytarzu, więc schyliła się do lustra i z całej siły palnęła w nie głową; potem, gdy zobaczyła, że wiadro ma pod nogami, podniosła je i zobaczyła się z wiadrem w olbrzymim lustrze na końcu pokoju, więc ruszyła prosto w stronę tego lustra, na podwórze, tak że Vladimir musiał zawrócić ją w stronę drzwi, które miała umyć, ale ona, kiedy spojrzała w to lustro w drzwiach i na dole lustra zobaczyła wiadro, schyliła się i sięgnęła po to wiadro do lustra i znów macała ręką w lustrze, jak to robią kocięta, aż wreszcie, sądząc, że to wiadro, które stało przy jej nogach, jest w lustrze, zawadziła o nie i z takim impetem wyrznęła głową w drzwi, że woleliśmy opróżnić to wiadro, i musieliśmy wyprowadzić ją nie tylko na podwórze, ale całkiem na ulicę, a i tam poruszała się po omacku, więc Vladimir odprowadził ją aż do tego magazynu, tam, gdzie zeszłego roku w noc bożonarodzeniową szczury zjadły jej całą chałkę, chociaż leżała z nią w łóżku na piersiach. Egon Bondy, kiedy zobaczył ten system zwierciadlany Vladimira i usłyszał, jak to było z panią Szulcovą, zawołał: Aha! Ja wam dam robić ze mnie głupiego! Ja, który tłumaczyłem Morgensterna! Tak więc jeszcze za dnia przyniósł tyle piwa, że potem nic, tylko siedział na krześle i robił nam wykłady na temat surrealizmu i Dostojewskiego, założył nogę na nogę i patrzył, nie mógł się na siebie napatrzyć, był tak porażony własnym odbiciem w tym wielkim lustrze na końcu pokoju, że nie spuszczał z siebie wzroku, wdzięczył się do siebie samego, wciąż tylko spuszczał oczy i zaraz je podnosił, żeby jeszcze bardziej nacieszyć się swoim widokiem, który wyraźnie

przypadł mu do gustu. A o północy, gdy się położyliśmy, obudził mnie dźwięk, jakby lała się woda z kranu... po chwili się powtórzył, więc zapaliłem światło, a to Egon z zadowoloną miną właśnie kończył wylewać z siebie na dywan trzynaste z tych piętnastu piw. — Baranie jeden — powiadam — to nie mógł pan wyjść na zewnątrz? A on położył się i odparł: Pewnie, i żebym jeszcze wpakował się po drodze na lustro! Po chwili znowu spał snem sprawiedliwego, jego pantofle połyskiwały w olbrzymiej kałuży moczu jak dwie barki w zatoce, a ja, rozzłoszczony, nasikałem mu do każdego buta po kolei. Rano, kiedy Egon się obudził, o dziesiątej, gdy my już od dawna byliśmy w pracy, stał zamyślony przed drzwiami, patrzył w lustro i gładził się po brodzie, i naraz, kiedy tak patrzył błędnym wzrokiem w lustro, zobaczył swoje dwa buciki. — Kto mi je wystawił na korytarz? Kurwa fiks! To na pewno Vladimir! — wrzasnął, schylił się po swoje buty i palnął czołem w lustro. Najpierw upewnił się, czy pan Kaifr, który pracował na nocną zmianę, śpi, potem cicho się obuł i po cichu wyszedł. Po południu kupiłem trzy kilo kapusty i ścierałem z czerwonego, ä la perskiego dywanu pani gospodyni tę zaschniętą kałużę szczyń poety. I uśmiechałem się, ponieważ bardzo lubiłem Egona Bondy'ego, może jeszcze bardziej niż Vladimira, a to już nie byle co.

Pewnego razu pojechaliśmy z Vladimiren! do Hra-dovych Strzimelic, do najstarszej karczmarki w Europie Środkowej, która dziewięćdziesiąt jeden lat pracuje w gospodzie, nalewa piwo, recytuje Halka i pamięta wszystkie powieści kryminalne, które zapadły jej w pamięć. Vladimir był zachwycony.

Najpiękniejszej ze swych historii nie opowiadała nikomu poza Vladimir

kiem, jak przez dwadzieścia lat miała tyle pracy, że nie mogła pójść do spowiedzi, więc wszystkie swoje grzechy wyznała proboszczowi listownie, a proboszcz, kiedy przyszedł dać jej rozgrzeszenie, żeby jej dać rozgrzeszenie musiał wejść na drabinę, ponieważ ona myła akurat okna na górze... Piliśmy zieloną nalewkę, a potem przeszedł jakiś korowód masek, wszyscy, którzy wyszli z ciemnej knajpy na dwór, mienili się kolorami jak tyrolskie obrusy upačkane konfiturami i najróżniejszymi gatunkami marmolady... Co chwila wyłaniała się z knajpy twarz tej staruszki, barwa jej sukni zlewała się z panującym półmrokiem, tak że choć wyteżaliśmy wzrok, widzieliśmy tylko jej twarz, a poniżej kufel... Kiedy później szliśmy dokądś ze wzgórza na dół, do kolejki w Czer-czanach, widzieliśmy stojącą w obejściu kobietę, ale tylko gdy się ruszała, furtka za nią była pomalowana na zielono, z podłużnymi szarymi pręgami, a ta kobieta również miała na sobie suknię w zielone pasy, więc na tle furtki połyskiwała tylko jej pośmiertna maska. Kiedy przeskakiwaliśmy przez potok na skraju lasu, przez potoczek, który wił się na mieliznach piasku, w dali świeciły ognie, śpiewały tam te maski, tańczyły i śmigaly, wrzeszczały jak dzicy... Vladimir stał jak wryty... Ten, który prowadził korowód ze sztandarem klubu, leżał teraz pijany, na wznak, w tym płytkim potoczku, a woda spływała po nim, unosiła się jak roleta, a potem tylko przez paręnaście centymetrów przesuwiała się fala za falą po leżącym pijaku, który uśmiechał się z głową podpartą na gładkim głazie krzemienia i oddychał miarowo, podczas gdy mokry sztandar, szamotany wodą, owijał mu się wokół ciała...

Pewnego razu Vladimir opowiadał po drodze na piwo: Moja następna grafika będzie aksamitna. Rozumie pan? Kopie pan kamyk, automatycznie, lewą, a potem prawą. Kupka opiłków mosiądzu. Po piętnastu sekundach zaglądam do środka. Co za чудо! Doktorze! Aksamit! Wie pan co, właściwie cieszę się, że taki ze mnie debil... Skręciliśmy w Skorzepkę, żeby wpaść do Konviktu. Pan Fiszer, były zapaśnik w stylu klasycznym, sprzed pięćdziesięciu lat, a teraz staczający walki już tylko ze sklerozą, siedział przed domem na krzeselku, a ponieważ nie chodził na piwo nigdzie indziej, jak tylko Pod Żłotego Tygrysa, pomachał do nas, tak samo jak do wszystkich przechodniów od rana, i załamał ręce: W tył zwrot, w tył zwrot, panowie, dziś jest kontrola z Sanepidu. Katastrofa...!

Wtedy, jak z Vladimirem weszliśmy w okres obs-cenów, kiedy szukaliśmy materiałów, żeby złożyć pisemny hołd Georgowi Groszowi, zbieraliśmy napisy w ustępach w fabrykach i gospodach i zapisaliśmy ich sobie kilkadziesiąt, przez pomyłkę weszliśmy nawet do damskiej toalety na dworcu w Veleslavinie, ale dopadli nas kolejarze, zamknęliśmy się na klucz i zrobiła się taka awantura, i wrzask, że przyszedł sam zawiadowca, więc otworzyliśmy drzwi, a wszyscy rzucili się na nas jako na pornografów i zboczeńców, i oskarżali, że czekaliśmy w ubikacji na uczennice, żeby je wykorzystać seksualnie. Kiedy pokazaliśmy zbiór napisów ze wszystkich możliwych klozetów, pan zawiadowca odwołał pierwszy zarzut, ale za to wbił sobie do głowy i upierał się przy tym, że jesteśmy homoseksualistami i chcieliśmy zaspokoić swą żądzę w toalecie w Veleslavinie, a ten zbiór pornograficznych tekstów to tylko igraszka, dla odwrócenia uwagi... po czym każdemu

z nas plunął w twarz, najpierw on, a potem kolejarze, ponieważ normalni ludzie mają homoseksualistów w głębokiej pogardzie. Ale co tam, kontynuowaliśmy poszukiwania, aż trafiliśmy do damskiej toalety na wydziale filozoficznym, na który poszliśmy niby to na wykłady o działalności rewolucyjnej w Afryce. Znaleźliśmy tam piękny napis: Dziewczyny, wczoraj dupczył mnie Murzyn! Pod spodem zaś było dopisane dziewczęcą ręką: A jakiego miał fiuta? Co najmniej metrowego! Vladimir wpatrywał się w ten napis jak urzeczony. Powiedział: Myślałem, że tylko ja mam takie lubieżne myśli, a teraz widzę, że to zwyczajna rzecz... Kiedy dowiedział się o tym Egon Bondy, załamał ręce, uniósł je nad głowę i jęknął: Jezu, te dwa łotry okradają mnie i nawet nie wiedzą, co czynią! Przecież ja teraz w pocie czoła analizuję zdanie: Seks jest anonimowy, eros ma adresata... Wszyscy płyniemy na jednej seksualnej łodzi, lecz każdy żegluje pod własną banderą erotyczną... Kurwa fiks! Dziś znów będę musiał połknąć kilo proszków, żeby choć trochę zdrzemnąć się w nocy...!

Vladimir był zawsze prostoduszny. Pewnego razu przyjechał do nas do Nymburka ze swoją Teklą. Tekla pojechała z moim ojcem ciężarówką white po skodę, która gdzieś się zepsuła. Czekaliśmy na nich na brzegu Łaby, a kiedy white nadjeżdżał, Vladimirek wzruszył się do łez. Ojciec prowadził ciężarówkę, na której stała skoda 420, a w niej siedziała Tekla i kręciła tak samo jak on kierownicą, jak tego wymagało cofanie, podjeżdżanie, a w końcu wjechanie na podwórze. Potem poszli z Vladimirem! wykąpać się w rzece. Mamusia z panią kierowniczką szkoły obserwowała Vladimira przez lornetkę i zobaczyła, jak Vladimir o w pół do

jedenastej, w niedzielne przedpołudnie, kiedy zaczyna się suma, spółkuje pod prześcieradłem przejrzystej rzeki. Pan Cyril, kierownik szkoły, też spojrział przez lornetkę i powiedział ze smutkiem: Nie wiem, nie wiem, ale to pokolenie chyba nie pójdzie drogą Komeńskiego. Kiedy później wytykałem delikatnie Vladimirowi, co też wyczyniał w rzece w porze sumy, odparł, śmiejąc się na całe gardło: Przecież ja widziałem, że na mnie patrzą, ale chciałem zrobić przyjemność pańskiej mamusi. Egon Bondy, kiedy się o tym dowiedział, zatykał sobie uszy i krzyczał: Kurwa fiks! Doktorze, na miłość boską, dość! Dość! Ten Vladimi-rek spełnia biblijne proroctwa! Wielu przyjdzie z Zachodu i ze Wschodu i zasiądą do stołu z Abrahamem! Ten Vladimir to kompletna, czysta paranoja...!

Pewnego razu siedzieliśmy U Brabców i rozmawialiśmy o rozszerzalności wszechświata, pijąc piwo w ilościach stosownych do tematu rozmowy. Ach, ten Vladimir! Nigdy się nie zdarzyło, żeby z własnej inicjatywy poszedł skorzystać z pisuaru, a kiedy był u kogoś z wizytą, nie wychodził za małą potrzebą, choćby nawet miał pęknąć. Kiedy więc po pięciu piwach poszliśmy tam pierwszy raz, do naszego stołu dosiedli się dwaj bracia i rozmawiali żywo, jeden drugiemu wpadał w słowo, a szczególnie ten w ciemnych okularach. Mówił donośnym głosem, każde wypowiedziane słowo tak cudownie zaokrąglalo semantykę znaku, że zasłuchaliśmy się bez reszty tylko w tę dudniącą melodię. Vladimir rwał bułkę palcami, ponieważ ruszały mu się wszystkie zęby. Ale gdy także ci nasi dwaj nowi współbiesiadnicy udali się do pisuaru, zobaczyliśmy, że ten, który tak dudnił, był ślepy. Kiedy wrócili, od słowa do słowa zaczęliśmy roz

mawiać i dowiedzieliśmy się, że kiedy ci dwaj bracia w dzieciństwie bawili się i skakali z drzewa, jeden z nich puścił gałęzie w taki sposób, że wybiły temu drugiemu oczy. Na wysepce tramwajowej Vladimir wyciągnął ode mnie sześćdziesiąt halerzy na bilet i powiedział: Jeśli znajdę w sobie dość sił, zapytam kiedyś tego ślepego, czy te jego wybite oczy, jeśli przypadkiem nie od razu upadły na ziemię, czy w ostatniej sekundzie po raz pierwszy i ostatni nie spojrzały mu w twarz, w puste oczodoły... Następnego dnia siedzieliśmy Pod Słowiańską Lipą na Vysoczanach i Vladimir użalał się nad sobą, że ślepie, że nerw trójdzielny przeciska mu się pod brwią na skroń, że gdyby porządnie kichnął, wyleciałyby mu przednie zęby, kiedy zobaczył przez okno przejeżdżający tramwaj, stęknął i złapał się za prawy bok, a gdy konduktorka w tramwaju przedziurkowała bloczek biletów, przypomniał mu o sobie woreczek żółciowy. I jakby tego było mało chwycił się za głowę, obmacywał ją i mówił, że zbiera się na burzę, a w głowę wbijał się mu pięciocalowy gwóźdź, którego ostrze mógł wymacać językiem. Mało tego, dwa dni wcześniej założył się z terminatorami, kto, bez rozbiegu, wskoczy na warsztat, na którym leżała stalowa płyta, i wygrał, ale rozciął sobie o krawędź tej sztancy goleń, a ta zaczęła ropicć, więc na zmianę łapał się to za goleń, to znów za bok, uciskał sobie palcem nerw trójdzielny, bądź sprawdzał, jak okropnie ruszają mu się przednie zęby. A wtedy od sąsiedniego stołu wstał człowiek i mówił cicho, zerkając na zegar ścienny: Nazywam się Duża, jak dusza, niech pan powtarza bez przerwy: spokój, spokój, spokój... gdyby pan potrzebował ruchów mesmerycz-nych, mieszkam w Górnych Poczernicach, wystarczy



wymienić moje nazwisko, mieszkam za ogrodem... Wskazówka przeskoczyła na za minutę dziewiąta i pan Duża zawołał: Najmocniej przepraszam, ucieknie mi autobus..., i ruszył biegiem, ale w drzwiach wahadłowych zderzył się z kelnerem, który niósł piwo, kołysząc się na boki. I pan Duża upadł, zalany piwem nie widział na oczy, klęczał na czworakach w kałuży piwa, i krzyczał i klął na czym świat stoi. Vladimir zamarł z wrażenia i nagle ozdrowiał. Wstał, zapiał marynarkę, pochylił się nad panem Dużą i mówił cicho: Niech pan powtarza: spokój, spokój, spokój. Gdyby pan czegoś potrzebował, nazywam się Vladimir, pracuję w CzKD, wystarczy zapytać, to tam Na Vystrkovie, jak to u nas mówią... Innym razem siedzieliśmy z Vladimirem U Horkich na Libni, w Żydach, kupiliśmy sobie po dziesięć rogalików i zapijaliśmy je smichowskim piwem, lokal huczał od rozmów i śmiechu, zniszczone robotnice piły pod oknem kawę z rumem, kiedy naraz podszedł do nas człowiek i powiedział: Panowie, jestem człowiekiem żonatym, to oczywiście nic takiego, ale rzecz w tym, że ja, proszę panów, mieszkam u teścia, w jednej izbie, przedzielonej zasłonką. To, że mój teść mnie objada, to oczywiście nic takiego, rzecz w tym, proszę panów, że kiedy w nocy Kocham się za zasłonką z moją własną żoną, to widzę na zasłonce sylwetkę mojego teścia, jak na wysokości mojej głowy onanizuje się tak sprytnie, że kiedy mnie jest dobrze, to i jemu też, panowie, czy jest na tym świecie drugi taki teść? Nie liczy się ze mną, bo jestem zwykłym lakiernikiem. Egon Bondy, kiedy usłyszał o wybitych oczach, machnął tylko ręką, że to nic takiego, kiedy usłyszał o panu Duży i Vladimirku, zacierał ręce, że niby te nasze spotkania z fenomenal

nymi zdarzeniami to już nie to, co dawniej, że nie ma w nich ikry, ale kiedy usłyszał o teściu, który onanizuje się przy samej głowie własnej córki, kiedy ta właśnie się kocha, chwycił mnie za ramiona i wlepił we mnie wzrok, patrzył na mnie, złapał mnie za głowę i wpatrywał mi się prosto w oczy, żeby upewnić się, czy to wszystko prawda. A potem ryknął: Gdzie jest ten człowiek? Ja na to: Vladimir? Już chyba w domu. Bondy wrzeszczał jak opętany: Gdzie jest ten lakiernik! I pogroził mi palcem przed oczami: Niech pan nie udaje, już ja swoje wiem, chcecie obrzydzić mi pisanie, ale niedoczekanie wasze! Z tym lakiernikiem musicie mnie zapoznać! Ja na to: On teraz kładzie lakier w cukierniczym, wisi na linie z pędzlem w dłoni, kładzie lakier i śpiewa... Bondy rozdarł się: Dawać go tu! Zatkał sobie uszy i kwiczał: Vladimir musi to wszystko opisać, a jeśli nie on, to pan, tak jak to robiła Bożena Niemcova z bajkami ludowymi, a Jirasek ze starymi legendami. I proszę przekazać Vladimirkowi: Im bliższa góra słońcu, tym większy na niej mróz... i tylko słońce ma prawo do swoich płam, jak powiedział Goethe o Fryderyku, królu pruskim, którym się teraz zajmuję! Ale z tym lakiernikiem musicie mnie zapoznać! Niech pan zrozumie! Przecież to może być męczennik w przebraniu lakiernika! W tym rzecz! A potem papież powie: Kościół nie potrzebuje męczenników! Potrzebujemy ich bardziej niż kiedykolwiek, dawać tu tego lakiernika! Kurwa fiks...! Pewnego razu odwiedziłem Vladimira na placu Konstancjańskim na trzecim piętrze, kiedy otworzyła mi jego mamusia, w półmroku przedpokoju zaśniły jej łzy... i zobaczyłem, jak drzwi otwały się na oścież i w powietrzu, w smudze światła z pokoju przeleciał

rondel, jak przechyli! się i wypadła z niego kapusta, a za nim, jak podstawki do piwa, cztery czy pięć knedlików. Wszystko to wyleciało z za jednych drzwi i przez oświetlony korytarz, ruchem zgodnym z prawami balistyki, wpadło w drzwi pokoju pani Boudnikovej, która wołała w korytarzu: Jak to dobrze, że przyszedł nas pan odwiedzić, Vladiczek się ucieszy! A po cichu dodała: Co to była za noc, jak on się awanturował! I znowu głośno i dźwięcznie: Ależ pan pięknie wygląda, panie doktorze, od razu widać, że prosto z kąpieli..., a po cichu: Co tu się wyrabiało, słychać go było w całej kamienicy..., i znowu na głos: Proszę do środka, Vladimirek ma nowy sweterek, Vladimirku... to dopiero się ucieszy! A po cichu: Wpadł na lustro i poranił się do krwi, i tą krwią wymazał ścianę i jeszcze cały arkusz papieru... i napisał na nim: Będę kapłanem obłędu... Vladimirku zastałem w stanie depresji. Powiedział tylko: Mama robiła mi wymówki, że powinienem okazywać jej trochę więcej wdzięczności, skoro mnie karmi, więc rzuciłem tym rondelkiem. Ja na to: To była niezapomniana scena, to tak jak wtedy, gdy Salvador Dali kazał się sfotografować, jak leci w powietrzu, a ktoś wylewa na niego z za drzwi akwarium z rybkami i zlatują się koty, oszalałe od pęcherzy, które ktoś przywiązał im do ogonów... Vladimirek podskoczył z radości: To widział pan ten rondel w powietrzu, tę kapustę... i to światło, czyż to nie było piękne? Przyznałem mu rację i zaproponowałem, żebyśmy poszli na piwo do gospody Pod Krzakami Róży, gdzie i kierownik i kierowniczka gospody mają każde po jednej własnej papużce, i te papużki wymyślają sobie od najgorszych, a kierownik i kierowniczka tylko się uśmiechają, ponieważ nie muszą sobie wymyślać,

skoro te papużki robią to za nich... Kiedy opowiedziałem o tym rondelku Egonowi Bondy'emu, wystraszył się, ale po chwili wrzasnął z uciechy: Kurwa fiks! Nietzsche pytał, gdzie są barbarzyńcy dwudziestego wieku... Vladimir! No tak, już wszystko jasne! Vladimir! Barbarzyńca dwudziestego wieku, który pławi się w chłodnych wodach sztuki i w ciepłych wodach nauki, jak powiedział Dali. Vladimir...

Pewnego razu, gdy szliśmy z Vladimirem brzegiem Łaby, ujrzeliśmy samotne drzewo, które wystawiało do słońca każdy bok, dalej było widać ciemny las. Vladi-mirek znowu rozglądał się ze wzruszeniem, uśmiechał się, kiwał głową, przytakując sobie samemu. — Niech pan spojrzysz — powiedział — to drzewo tutaj to Goethe, rozrosło się w sprzyjających warunkach, nasyciło się słońcem Hellady, z każdej strony, jego korzenie zaczerpnęły z ziemi do syta wszystkiego, czego potrzebowały. Ja natomiast jestem drzewem z tamtego lasu, ramiona mam obdarte, mogę liczyć tylko na tyle słońca dla mojej smukłej korony, ile na mnie przypadnie, w tym lesie przeszkadzamy jeden drugiemu, zazdrościmy sobie nawzajem, ale żyć trzeba. Myślę — ciągnął Vladimir — że dzięki wyobraźni i doznaniom dotykowym rozrosłem się nie mniej bujnie — wskazał na samotne drzewo — niż ten Goethe. Zniosłem różnicę między silną jednostką i masą... chachachaaa! Zacząłem wtedy rozumieć, że grafiki Vladimira są apoteozą stanu czwartego, lasu, klasy robotniczej, że dotykając się nawzajem gałęziami jesteśmy skazani na życie na koszt Wszechświata i Piękna. A Vladimir wciąż stał wzruszony pod tym samotnym drzewem i przemawiał czule: Ja też, tak jak to drzewo, wszystko mam w liściach uziemione... Dla mnie to

drzewo jest jak ze szkła, widzę, jak limfa wzbiera pod szkłem pnia, a soki docierają przez rurki do gałęzi, widzę kwiat, widzę owoc... także ziemia jest dla mnie przezroczysta, jak ze szkła, wyraźnie widzę, jak daleko ciągną się korzenie i naczynia włoskowate, widzę, jak czerpią z ziemi i z wody, widzę całe to szklane drzewo, a nawet każdą fazę jego rozwoju, zgodną z porami roku, tu i teraz widzę te kręgi, które zatacza każda część drzewa, widzę tę harmonię sił i soków... odrobina wyobraźni i wszystko staje się jaśniejsze, a więc bardziej ludzkie, wie pan, doktorze? Rozumie pan? Doktorze...! A ja uświadomiłem sobie właśnie, dlaczego grafiki Vladimira są tak pięknie rozgałęzione, tak dobrze uziemione, jak każde dobre radio i jak każdy telefon, jak te cysterny z benzyną, które wloką za sobą po bruku odgromnik, żeby materiał łatwopalny nie wyleciał podczas burzy w powietrze. Widziałem, że i Vladimir, gdy ma wszystkiego dość, zawsze się podnosi, bo pochyla się i dotyka palcem ziemi, która dodaje mu świeżych sił, gdyż nawiązuje z nią mistyczny, a zarazem całkiem realny kontakt. Egon Bondy, gdy dowiedział się, co Vladimir powiedział na spacerze, kopnął w żeberko kaloryfera, po czym, ściskając w dłoni rozwalony pantofel, skakał po barze Świat i krzyczał: Z tym drzewem to jak u starego Jakuba Böhmego, tego genialnego szewca ze Zgorzelca, on także odgarniał ziemię spod drzew, żeby odkryć związki materii z myśleniem, żeby sformułować zdanie: Der als Mensch gewordene Gott! Ojoj! Chyba złamałem sobie palec! Ale to przez Vladimira! Przecież to drzewo to substrat całej filozofii Hegla! Ja muszę ślęczeć nad tym przez rok, a Vladimir, ta bestia, wpadnie na to ot tak, na spacerze, jakby się wysmarkał! Mówię panu, to czysta paranoja! I jeszcze ten pantofel!

Odkupicie mi buty i basta... — wymyślał nam Bondy, który wyrażał swe uznanie za pomocą obelg... Potem Egon Bondy postanowił, że całkowicie poświęci się sztuce. Aby uniknąć obowiązku pracy, postanowił pójść do domu wariatów.

Pierwszego dnia bardzo to sobie chwalił i zaklinał Vladimira: Vladimirku, Vladi-czku, to by było coś w sam raz dla pana, taki piękny zakład, całkiem blisko Pragi, ciepło tam, posiłki obfite, dadzą panu nawet malkastę i papier albo płótno, dostanie pan również przepustkę i będzie pan mógł tworzyć. A jeśli przyjdzie panu ochota poszaleć, to ma pan na to papiery, nic się panu nie może stać...! Ale Vladimir nigdy nie mógłby porzucić fabryki, ona była dla niego czymś więcej niż dom wariatów, była dla niego azylem i uczelnią, i kochanką. Powiedział, że nie, nie i nie. Następnym razem Egon Bondy przyszedł po miesiącu, choć wcześniej blady, to teraz opalony, ogorzały od wiatru, ale w strasznej złości, padł jak długi na kanapę i wrzeszczał: Kurwa fiks! A niech diabli porwą ten dom wariatów! Wprowadzili tam radzieckie metody, według których najlepsza na lekkie zaburzenia jest kuracja przez pracę. Dali mi motyczkę i codziennie chodzę okopywać buraki! I faktycznie zdrowieję, a zdrowie to dla poezji mogiła, kurwa fiks! Zwalił się na kanapę i zasnął, spał trzy godziny, a gdy się obudził, zapytał: Doktorze, nie ma pan czasem mleka? A żytni chleb...?

Vladimir postanowił, że będzie skakać z trampoliny. W tym celu sam sporządził sobie kąpielówki, szył je trzy dni, jedno z bandaża, a drugie z czarnej satyny. Właściwie były to dwa trójkąty, połączone cienkimi tasiemkami, ale wszystko musiało być na swoim miejscu, więc Vladimir szył, przymierzał te

kąpielówki i przeglądał się w wielkim lustrze, żeby sprawdzić, jak wygląda z tyłu, kupił sobie małe lusterko za cztery korony sześćdziesiąt, i za każdym razem widziałem go, jak wyciąga rękę z tym małym lusterkiem za siebie, żeby zobaczyć w wielkim lustrze, czy i z tyłu wygląda w nich jak należy. To dopiero było, kiedy Vladimir skakał w tych kąpielówkach z najwyższego poziomu! Nigdy się tego nie uczył, podobnie jak nigdy nie uczył się gry na skrzypcach ani na mandolinie, a mimo to wydobywał z nich najczulsze dźwięki. Było to coś wspaniałego, widzieć, z jakim przejęciem Vladimir bierze rozbieg, obiema nogami wybija się z trampoliny, unosi się z rozłożonymi ramionami, które następnie przywodzi zwolna do ciała, wykonawszy skłon, po czym jego dwumetrowe ciało wpada do wody! Kiedy znów pojawiał się na powierzchni, po kilku machnięciach ramionami klepał dłonią o brzeg basenu, woda spływała mu po twarzy, a on dawał wskazówki chłopakom: Słuchajcie, najważniejsza rzecz, jak skoczycie, to żebyście zwrócili uwagę, jak Vyszehrad tam za wami najpierw tak jakby przykucnie, ale gdy wykonacie obrót i będziecie spadać głową w dół, miejcie wciąż oczy otwarte, a wtedy zobaczycie, jak podczas gdy wy mkniecie do wody, Vyszehrad gwałtownie, z tą samą prędkością podnosi się na horyzoncie... Dlaczego wam to mówię? Zawsze zwracajcie uwagę na to, co robicie, ale także i na to, co się dzieje dookoła... Tak więc Vladimir wyszedł z wody i znów, z powagą, jak nauczyciel, wszedł po schodkach na najwyższy poziom, rozpędził się i zmusił Vyszehrad aby ten odrobinę przykucnął za nim w kolanach, a potem szybko podnosił się na oczach Vladimirka, które wraz z jego ciałem wykonywały jego legendarne

skoki z trampoliny, z najwyższego piętra wieży. Kiedy dowiedział się o tym Egon Bondy, zaklął: Kurwa fiks! Ten Vladimir coraz bardziej mnie ośmiesza. Powiniennem skoczyć teraz na główkę albo do pustego basenu, albo z wieży katedry świętego Wita. No, kiedy opowiem o tym Zbyńkowi Fiszerowi, to dopiero się zdziwi...

Pożyczyłem wtedy Vladimirowi książkę, w której jest napisane, dlaczego węgierska drużyna narodowa była w swoim czasie najlepsza na świecie, dlaczego zwyciężyła w meczu stulecia z Anglią. Vladimirek zwrócił mi tę książkę i wołał z zachwytem: Doktorze, ależ mi pan sprawił przyjemność! Ten tak zwany drybling Hidegkutiego na chustce do nosa, który w jednej chwili odwraca przebieg całej gry, to przecież nic innego, jak moja aktywna grafika na takiej samej powierzchni! Kiedy opowiedziałem o tym Egonowi Bondy'emu, ten milczał przez chwilę, a po chwili był o dziesięć centymetrów niższy. Potem przemówił! cicho, znużonym głosem: Ten Vladimir, jak już mówiłem, to kompletna paranoja. O tym dryblingu Hidegkutiego na chustce do nosa aktywnej grafiki, no nie, Zbyńkowi Fiszerowi nie powiem o tym ani słowa! Dopiero by mnie zwymyślał, że to nie ja na to wpadłem...

Pewnego razu Vladimir zakochał się w pucułowatej dziewczynie z Czimic. Na jej cześć podczas przerwy obiadowej w hucie Poldi nastawił młot mechaniczny precyzyjnie na długość swego nosa, położył się pod tym młotem, a gdy jeden z jego przyjaciół nacisnął przycisk, młot zatrzymał się idealnie w taki sposób, że dotknął lekko nosa Vladimira. W ten sposób Vladimir przygotowywał się na popołudniową randkę z dziew



czyną, którą pokochał. Kiedy szedł z nią o zmroku szosą do Czimic, zdjął na jej cześć krawat, przywiązał go starannie do gałęzi jabłoni, potem szybko obwiązał sobie drugi koniec wokół szyi i wisiał tak przez chwilę, podczas gdy dziewczyna w ciemnościach uciekła do domu. Następnego dnia Vladimir wrócił do tego Lasku Czimickiego ze swoim fotografem, krawat wciąż jeszcze wisiał na gałęzi, i Vladimir zrekonstruował to wyznanie miłosne, a fotograf zrobił mu zdjęcie z wywalonym na wierzch językiem. Siedziałem w domu, w szlafroku i w bamboszach, i gdy Vladimir opowiedział mi tę historię i pokazał fotografię, kręciłem głową, nie chciałem słuchać ani o ciosie młotem mechanicznym, ani o wieszaniu się na krawacie. Vladimir powiedział: A co miałem robić, skoro chciałem sprawić dziewczynie przyjemność. Niech i ona ma coś z życia, prawda? Kiedy opowiadałem o tym Egonowi Bondy'emu, ten zatykał sobie uszy, tupał i krzyczał: Dość, doktorze, na miłość boską, dość! Przez te historie Vladimira opadam z sił, doktorze, flaczeje jak opona, z której ulatuje powietrze, litości, już dość! Dość, przecież jadę już na gołej obręczy! Ten drań przedziurawił mi dętkę! Kurwa fiks...!

Vladimir przyprowadził Kadla, swego kolegę z pracy. Vladimir bezustannie z niego żartował, ale nie ot tak, dla hecy, tylko dlatego, że wiedział, że Kadlowi poprawia to samopoczucie. Weszli, a Kadel trząsał się jak osika. Vladimir powiada: Zauważyłeś Kadel, że przez cały czas szedł za nami ten człowiek w szoferskiej czapce? Kadel skinął głową i rozglądał się, przerażony, zawsze nosił czapkę z klapkami na uszy, żeby się nie przeziębic. A Vladimir: Jakby co, Kadel, to mówiłeś, że gdzie chciałbyś być pochowany, w Zbraslaviu czy

w Modrzanach? Po czym przyłożył palec do ust, podkradł się na palcach do drzwi, uchylił je i wybiegł na ciemne już podwórko. Kiedy wrócił, Kadel miał oczy pełne znaków zapytania, podali sobie dłonie, popatrzyli w oczy i złożyli przysięgę: Jakby co, to ty, Kadel, nic nie widziałeś ani nie słyszałeś! Droga powrotna z pracy była pełna tajemnic, zawsze, gdy dotarli na miejsce, Kadel był ledwie żywy ze strachu, zdejmował tylko tę czapkę i włosy mu wypadały, ocierał pot z czoła, a gdy spoglądał na Vladimira, widziałem, że nie może bez niego żyć... mógłby, ale z Vladimirem mieli swoje tajemnice, nie tylko za dnia, ale i w nocy, wciąż same niebezpieczeństwa... Któregoś znów razu trzymali się za ręce w moim pokoju przy ulicy Na Grobli Wieczności pod numerem 24, Vladimir wybiegł na dwór, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma na podwórzu, a potem oznajmił uroczyście: Kadel, od dzisiaj nasze wspólne hasło brzmi: Pypcią do Dnieprostroju. A potem Vladimir siedział i w trakcie rozmowy rzucał od niechcienia: Słuchaj, Kadel, lepiej noś teraz ciepłą bieliznę i podkoszulek, w pierdłu jest zimno, wiesz? Albo: Kadel, nie boli cię głowa o, tutaj z tyłu? Ja nie chcę cię straszyć... ale jak zacznie boleć w tyle głowy, to oznacza początek paraliżu, wiesz? A przy okazji, Kadel, spisałeś ostatnią wolę? A co byś wolał, Kadel, być pożartym przez rekina czy umrzeć na sklerozę? A potem znowu szli razem w noc.

Pewnego razu Vladimirek przyszedł sam, cały w skowronkach. — Ten Kadel, doktorze, kto by to o nim pomyślał? Nie jestem już w stanie wynajdować dla niego coraz to nowych tajemnic, kolejnych haseł, więc chciałem nauczyć go grafiki eksplozjonalistycz-nej, a on wpadł w taką wściekłość, że rozgiął ten

żelazny cyrkiel, który waży więcej niż kilo, i cisnął nim we mnie, tak że cyrkiel przeczesał mi włosy koło ucha i utkwiał w regale, i jeszcze kołysał się tam przez chwilę. No, kto by to pomyślał ? Ten chłopak ma niemal taki sam charakter jak ja, sprawił mi olbrzymią radość tym cyrklem. Kiedy usłyszał o tym Egon Bondy, powiedział cicho, z lekko przesuniętym okiem: Nie będę już psuł sobie nerwów. Więc Pypcią do Dnieprostroju? Ten Vladimir to tytan... albo co... szczęście jeszcze, że napisałem *Prager Leben*, szczęście, że napisałem *Mala i Wielką Księgę* i inne tomiki poezji... ale co dalej? Niedługo schowamy przybory do pisania, niedługo zamkniemy maszynę do pisania wszafie i zajmiemy się ze Zbyńkiem Fiszerem filozofią indyjską, Zbyniek Fiszer nauczy mnie sanskrytu, pociąg znika w tunelu, żebym za parę lat zazielenił się znów jak mistyczna ruń... Pypcią do Dnieprostroju? Doktorze, litości, czemu ten Vladimir tak się nade mną znęca? Ooooch! Kurwa fiks...!

Kiedy dyrektor Krzywego Koła zobaczył grafiki Vladimira u poety Kolarza, natychmiast postanowił, że urządzi mu wystawę w Warszawie. Poskładał nie opieczętowane grafiki, rozpiął rozporek i koszulę, umieścił grafiki na brzuchu, zapiął rozporek i koszulę, i tym sposobem Vladimir poleciał z Pragi na Krzywe Koło w Warszawie. A ponieważ brakowało papieru na katalog, poeta Kolarz dowiedział się, że pocztą lotniczą można posyłać do Warszawy listy o wadze do 4,5 kg, więc przygotowali ważące 4,5 kg paczki papieru pakowego i ze wszystkich poczt na praskich peryferiach wysyłali przesyłki o wadze 4,5 kg na adres: Warszawa, Krzywe Koło, do rąk własnych pana Bogusza, który to pan Bogusz wydał polecenie, żeby na tym papierze wydrukowano katalogi. A na tej wystawie na

Krzywym Kole zobaczył te grafiki dyrektor Davis z Instytutu Sztuki Współczesnej z Miami i dzięki temu grafiki Vladimira poleciały za ocean, gdzie miały wspaniałą wystawę. Od tego czasu Vladimir bał się strzyc. Gdy tylko zobaczył nożyczki w ręce fryzjera, cierpł na samą myśl, co się może stać, jeśli ten fryzjer wieczorami zajmuje się grafiką i zazdrości Vladimirovi, i zniecka wbije mu te rozwarte nożyczki w oczy, aż do mózgu? Dlatego strzygła Vladimira mamusia, a później jego ukochana żona Tekla. To dopiero było z tym stryżeniem, ile przy tym było krzyku, ile przegładania się w lustrze, zanim Vladimir uznał, że jest ostrzyżony tak, jakby w ogóle się nie strzygł, zawsze lubił czesać się na dandysa i chodzić niedbale ubrany jak Baudelaire albo Brummell. Ale gdy jego żona Tekla cięła ubrania na kawałki, by móc zanieść je i sprzedać jako surowiec wtórny, co chwila mierzyła nożyczkami w oczy Vladimira. I za każdym razem, gdy to Tekla strzygła Vladimira, zawsze liczył się z tym, że te postrzyżyny skończą się dla niego ślepotą, ponieważ Tekla podczas stryżenia wymachiwała nożyczkami i robiła Vladimir-kowi wyrzuty, dlaczego nie przynosi do domu więcej pieniędzy, dlaczego choćby teraz mają wszystkiego dwie korony pięćdziesiąt? Kiedy dowiedział się o tym Egon Bondy, opadła mu szczęka, jego słynne, zachwycająco czerwone wargi załśniły jak miąższ czereśni, jego niebieskie oczy uciekły do tyłu ze smutkiem, i powiedział: Ze powietrze przekracza bez zezwolenia granice państwa, że woda płynie, a ptactwo niebieskie lata sobie bez paszportów, dokąd chce, to wiadomo każdemu, ale na litość boską, skąd miało mi przyjść do głowy, że Vladimir bez zezwolenia, w rozporku, przeleci nad granicą jak jakiś bóg? Ale to jeszcze by

uszło, kurwa fiks! Dlaczego właśnie ja muszę się dowiadywać o tych pięknych incydentach z nożyczkami? Co ja komu zrobiłem, że żadna kobieta nie chce wykluć mi oczu z miłości...?

Vladimir lubił gospody, w których palono węglem lub drzewem w piecu Musgraves 14 lub w tych ogromnych, czarnych piecach Filiakovo, które przypominały kasy ogniotrwałe. Siedzieliśmy przy oknie U Horkich, na dworze padał śnieg, a Vladimir przyglądał się melancholijnie, jak barman, pan Szoler, dokłada do ognia, a potem, pogwizdując, napelnia te swoje legendarne kufle smichowską dziesiątką, na dworze już od rana pada śnieg, właśnie nadbiegła gromada chłopców, dwie grupki obrzucają się nawzajem kulkami, jedna gromadka się cofa, ustępuje powoli wobec przewagi tej drugiej. Vladimir powiedział: Ten piec w kącie to ja, jak nikt nie dołoży do ognia, to nie grzeję... ale teraz niech pan uważa — rzekł, patrząc na obrzucających się śnieżkami chłopców, i wybiegł tak, jak stał, w zadymkę śnieżną, i najpierw uklęknął, potem podparł się łokciami o śnieg, i klęczał tak na czworaka, z grzbietem jak ławeczka. — Doczekaliśmy się — powiadam — w końcu oszalał, to czysta paranoja, klasyczna schiza, jak mawiał Egon Bondy. Ale Vladimir uśmiechał się, odwracał głowę do okna, goście patrzyli, jedni ze współczuciem, inni z niesmakiem, ale Vladimir uśmiechał się, jak zawsze z powagą, gdy stawał wobec tajemnicy, na chwilę przed jej odsłonięciem. I ja także zacząłem się już uśmiechać, ponieważ w miarę jak obrzucający się śniegiem chłopcy cofali się, jeden z nich zbliżył się niebezpiecznie blisko Vladimira, który czekał cierpliwie jak astronomowie na zaćmienie Słońca,

które przepowiedzieli i wyliczyli co do dnia i sekundy. I stało się to, co się miało stać, Vladimir, nie musząc nawet kręcić się na czworaka po śniegu, doczekał się tego zaćmienia, chłopiec, cisnąwszy kulą śnieżną, fiknął pięknie nogami nad plecami Vladimira, jak futbolista, kiedy strzela nożycami, upadł na plecy i, wystraszony niespodziewaną przeszkodą, nie był w stanie się podnieść. Vladimir podał mu rękę, jednym szarpnięciem postawił go na nogi i sam zaczął nabierać śnieg w dłonie, lepił z niego nieszkodliwe kule, a chłopiec poszedł w jego ślady i po chwili karta się odwróciła, chłopcy nie sprostali przewadze i zniknęli za rogiem cukierni Vaclava Szimunka, za sklepem z łojem, jak po dziś dzień jest napisane na szczytowej ścianie tego budynku. Pewnego razu Vladimir wyjechał na tydzień z brygadą pracy. Wrócił stamtąd w stanie euforii i uniesienia, choć kulał. Opowiadał: To coś wspaniałego, doktorze! Przez cały dzień, tylko gołymi rękami, wybieraliśmy kartofle z ziemi, czułem w dłoniach całą kulę ziemską, mateczkę ziemię, opokę. Ach, co za radość! Zawijuję sobie but, a tu naraz jak mnie coś nie łupnie, aż przeleciałem łukiem dziesięć metrów, a gdy się zatrzymałem, odwracam się, a to był rozzłoszczony baran, przecież pan wie, że prawie wszyscy faceci mi zazdroszczą. Nadbiegł pastuch Niemec i powiada: On tak zawsze, i odegnał stado owiec. No, czyż to nie wspaniałe? Ale jednego razu zemdlałem. Tak pod wieczór moczę sobie nogi w balii, siedzę na ławeczce, a tu naraz pastuch gna stado krów... Jedna spojrzała na mnie i jak nie ruszy w moją stronę, prosto na mnie, tak jak lecą na mnie kobiety. Ja patrzę, ta krowa już na mnie dyszy, już mi wchodzi na kolana, ale zaryła kopytami

w ziemię, pochyliła się i za jednym zamachem wypła całą wodę i jeszcze polizała mi palce u stóp. Na to nadbiegł pastuch i pociesza mnie: Kiepsko u nas z wodą... ona tak zawsze. A ja zemdlałem, nigdy w życiu nikt nie lizał mnie po stopach. Mówię panu, doktorze, następnym razem znowu pojedę z tą brygadą. Później, kiedy Vladimir ożenił się po raz drugi, zabrał pannę młodą w podróż poślubną na brygadę na wieś, tak jak poprzednio, na wykopki. Wrócił rozczarowany... — Doktorze, szczęście mnie opuściło, ani jednego barana, ani jednej spragnionej krowy, mam złą passę, żadnego incydentu, mówię panu, szczęście mnie opuszcza, może opuściło mnie już na zawsze. Kiedy Egon usłyszał o tym zazdrosnym baranie i spragnionej krowie, natychmiast, na ulicy, zaczął delikatnie trykać głową w mur, tłukł obiema piąstkami w tynk i wołał: Kurwa fiks! To wykapany święty Franciszek! Ten Vladimir wciąż jest w stanie łaski i ta łaska nigdy, przenigdy nie przestanie się do niego wdzięczyc! Kurwa fiks, dziś w nocy znowu nie zmrużę oka!

Vladimir zaczynał wszystko jakby od nowa, jak cudzoziemiec, jak dziecko. Kiedy szliśmy na mecz, najpierw rozglądał się ze zdumieniem, potem zaczynał się dopytywać, jakie stroje ma Slavia, a jakie jej przeciwnik. Potem dopytywał się, co to jest ofsajd, co to gol, co to aut, co to faul. Kiedy kibice nawrzeszczeli się już i nawydzierali na niego do woli, Vladimir oznajmiał, że taki mecz to dokładne odwzorowanie sytuacji w polu magnetycznym, a gdy gra była wyrównana, cieszył się, że przypomina to właściwie wykonaną grafikę, stan równowagi przeciwieństw, że można by wyprowadzić krzywe sił ruchów ataku i reakcji obrony, najbardziej mu się podobało, kiedy piłka

znalazła się w takim położeniu, że zmuszała do podjęcia akcji obydwie drużyny. Za najpiękniejsze w futbolu uważał te sytuacje, kiedy zawodnicy dostrzegali i wykorzystywali słabe strony przeciwnika, kiedy obydwie drużyny starały się nawzajem przechytrzyć. I w końcu doszedł do wniosku, że futbol to gra przypominająca drzwi w gospodzie, drzwi, które powstrzymują napór dziesięciu ludzi, którzy usiłują wydostać się z gospody na zewnątrz, lecz równocześnie dziesięciu innych ze wszystkich sił stara się przez te same drzwi do niej wejść. Poszliśmy kiedyś na Slavoj VIII, gdzie odbywał się turniej drużyn głuchoniemych. Grze towarzyszyła tam żywa gestykulacja, przypominało to balet, zawodnicy po każdym faulu starali się na migi wyjaśnić sędziemu, co się stało, dlaczego czują się pokrzywdzeni, a wszystko to w tym pięknym niemym filmie, z pantomimą i wstawką taneczną. Przez całą noc i jeszcze długo potem Vladimir perorował na temat relacji między futbolem i grafiką eksplozjonistyczną, a także wieczorami, Pod Królem Wacławem, dokąd przychodziły wystrojone panie w odświętnych sukniach i fryzurach w towarzystwie dawnych zawodników Meteoru i KS Libeń, i Czechii Karlin, i Libeńs-kiego KS, i wszyscy czekali na czarnowłosego futbolis-tę, który mieszkał W Żydach, a gdy przychodził, przysuwał sobie krzesło, siadał i omawiał wszystkie spotkania piłkarskie, wszyscy czekali tylko na tego dawnego mistrza i jego komentarz. Kiedy Vladimir opowiedział o jedynym spotkaniu, jakie widział w ostatnim kwartale, wszyscy byli zachwyceni tym, jak pięknie przedstawił sylwetki graczy i najważniejsze momenty spotkania... a kiedy skończył, panie dostały natychmiast po kieliszeczku likieru na wzmocnienie,



a Vladimir duży koniak za tę zajmującą opowieść, a dawni gracze mrugali do siebie porozumiewawczo, ponieważ uważali Vladimira za stukniętego, tak zajmująco i całkiem z innego punktu widzenia opowiadał o futbolu, zupełnie inaczej, niż oni zawsze widzieli tę grę...

Dla Vladimira normalny świat był sanatorium, świat krzątających się wokół własnych spraw obywateli, zabiegających o artykuły konsumpcyjne, oscylujących wokół średniej arytmetycznej.

Kiedy ocierał się o szaleństwo, akceptował zasady gry w tym świecie, żeby odetchnąć, nabrać świeżych sił. Przykręcał knot swojej nazbyt rozżarzonej lampy, żeby nie pękł mu szklany cylinder, chodził na zakupy, do kina, a w ostatnim czasie nawet na ryby. Bywał kimś zupełnie innym, tak więc choć spoglądał na społeczeństwo konsumpcyjne ze sztucznego satelity, lubił czasem wcielić się w rolę uczestnika, tak jak dzieci lubią chodzić do panoptikum, do gabinetów luster, do Planetarium albo do Parku Juliusza Fuczika. Można więc powiedzieć, że przeciętni ludzie działali na niego inspirująco, ich ograniczony egoizm pobudzał go jak ostroga, był kimś innym, aby ubierając się tak samo jak oni i jak oni chodząc do pracy, gardzić całym tym allzumenschliches, aby za pomocą rozsuwanej drabiny swojej wyobraźni wznieść się ponad resztę i stanąć na ostatnim szczeblu, wśród pięknych burzowych chmur...

Kiedy Vladimir ożenił się z Teklą, z początku zastanawiali się, czy Tekla powinna studiować estetykę, czy może lepiej języki albo pójść do szkoły graficznej. Ale w końcu Tekla pracowała tam gdzie Vladimir, uczyła się obsługiwać tokarkę, a że nosiła kombinezon na szelkach, dzięki swym pięknym pier

siom stała się ulubienicą fabryki. Vladimir po zmianie przesiadywał na wydziale kobiecym pod zegarem i wszczywał z wykapanymi robotnicami rozmowy na temat swego pożycia małżeńskiego, nie pomijając takich szczegółów, że kobiety czerwieniły się po same korzonki włosów. Vladimir nie mógł przeboleć, że Tekla musi się kąpać w fabryce. Kiedy jeszcze nie chodziła do pracy, Vladimir kąpał ją sam, w balii. Żeby zaś dziewczyna miała coś z życia, lubił paradować przed nią nago, z imponującym wzwodem. Kiedy robotnice podzieliły się z nim obawą, czy go to aby nazbyt nie wyczerpuje, Vladimir uspokajał je, że takie i jeszcze inne historie wyczynia przed swoją żoną po to, żeby miała trochę uciechy z życia i przeżyć. Ale najchętniej Vladimir przesiadywał z robotnicą lesbijką, która lubiła kąpać się z Teklą, tak więc Vladimirek, wielbiciel ciała swojej żony, rozmawiał z tą lesbijką szeptem, tych dwoje zakochanych dzieliło się swoimi doświadczeniami i wiedzą, i zawsze dochodzili do wspólnych wniosków, choć każde było innej płci. Szeptali jednak na tyle głośno, że robotnice czerwieniły się coraz bardziej, i patrzyły na Vladimira z podziwem, i wszystkie myślały o jednym, że chciałyby mieć w domu mężczyznę tak zakochanego jak Vladimir. Kiedy dowiedział się o tym Egon Bondy, krzyczał: Wy to robicie umyślnie, ta lesbijka umyślnie z Vladimirem szeptała, żeby mi się o tym nie dowiedział! Ten Vladimir! Kurwa fiks! Zdawało mi się, że jestem specem w tych sprawach, bo kieruję się wskazówkami starożytnych gnostyków, którzy twierdzili, iż warunkiem rozwoju życia duchowego jest wyuzdanie seksualne, a ten Vladimir ośmiesza mnie nawet w fabryce? Czy ten Vladimir nigdy nie przestanie? Szepnąłem Egonowi do

ucha: Przypominam sobie, że kiedyś Na Grobli Wieczności Vladimir włożył sobie, najgłębiej jak tylko mógł, świeczkę z choinki do nosa... Egon Bondy wrzasnął: Cholera, świeczkę z choinki? Do nosa? Ja mu na to: Do nosa... Egon Bondy biegał w kółko, walczył z niewidzialnym przeciwnikiem, aż złapał się za kolano: Skurcz mnie złapał, ale dlaczego do nosa? Cholera! Odparłem: Bo chciał mieć jakieś homoseksualne doznanie dotykowe... musiałem mu ją wyciągać kombinerkami, całe szczęście, że knot wystawał... A Egon Bondy przewrócił mnie, jeździł mi brodą po twarzy, i wołał: Wy dwaj, jak nie będziecie uważać, to zabiję, zabiję, zabiję.... Potem odepchnął mnie, wlepił wzrok w sufit, jakby to było sklepienie niebieskie i wołał w ekstazie: Paryż jest tutaj, w Pradze, na Libni. I zarazem Galicja. Vladimir to syn rabina z Bełza. A nie mówiłem, że to kompletna, czysta paranoja...?!

Pewnego razu Egon Bondy chciał odwiedzić Vladi-mirka i jego Teklę, w kilka tygodni po ślubie. Ja na to: Skoro tak, to musimy pójść na ulicę Na Žertwach, on mieszka w suterenie, tam, gdzie Jirzi Szmejkal, który właśnie pobielił sobie tę suterene. Był wieczór, gdy stanęliśmy pod drzwiami. Okiennice były zamknięte, ale nie zupełnie, więc było widać przez pięciocenty-metrową szczelinę, jak Vladimir chodzi tam i z powrotem w neonowym świetle, jego złote kędziory lśniły za każdym razem, było to coś pięknego, tors Vladimira, jak zanurzony po pas w grobie, przemykał na wyciągnięcie ręki, a Vladimir mówił coś, krążąc po tej długiej suterenie. A potem pojawiła się Tekla, piękna niczym świeżo poślubiona panienska, w której żyłach płynie hrabiowska krew, biegała za Vladimirem i coś mu tłumaczyła, lecz Vladimir jeszcze bardziej się

gorączkował, szalał i wściekał, biała, świeżo pomalowana wapnem ściana świeciła oślepiającym blaskiem, a Vladimir i Tekla biegali z kąta w kąt, wymachiwali rękoma, Vladimir czynił jej jakieś wyrzuty, a Tekla się broniła, w tej suterenie naładowanej jak butelka lejdejska. Egon Bondy oddychał ciężko i chrypiał w pół-przysiadzie: Do jasnej cholery, do dopiero numer z tego Vladimira. To musi skończyć się katastrofą! I miał rację, Vladimir, zachwycający w tym gniewie i wyrzutach, grzmiał i ciskał gromy na Teklę, która raz po raz klękała przed nim, ale on wyrywał się jej brutalnie, włókł ją za sobą, czepiając się jego długich nóg. Obejrzałem się, a tam za torami, tam, gdzie po drugiej stronie ulicy Na Żertwach ciągną się jednopiętrowe domy, tam na pierwszym piętrze było oświetlone otwarte okno, a w tym oknie pod żarówką widać było niedokończony akt leżącej na kanapie kobiety, malarz, który robił ten portret, odwrócony był plecami do ulicy, i za każdym razem, gdy rzucał okiem w kąt pokoju, którego drugie okno było zamknięte i ozdobione żelazną żaluzją, utrzymywał na płótnie swe ekspresjonistyczne wrażenia, jakie budziło w nim kobiece ciało, z olbrzymią pasją przenosił je gwałtownymi ruchami pędzla na płótno. Powiedziałem: Bondy, niech pan spojrzy... — ująłem Egona za ramię, ale w tej samej chwili w ulicę Na Żertwach wjechała lokomotywa, ciągnąc za sobą biały dym, cała w majestatycznych kłębach białego dymu, zakryła nim nie tylko fasadę po przeciwnej stronie ulicy, ale i nas. Gdy odjechała i dym opadł, Egon Bondy wlepił wzrok w otwarte okno, w plecy malarza, w jego miarowe ruchy głową, a malarz pracował ze skupieniem nad aktem kobiety, która leżała z rozłożonymi nogami w zaciszu pokoju. Egon

Bondy, nie wiedząc, co o tym myśleć, położył palec na swych czerwonych wargach, potem odwrócił się i spoglądał przez szczelinę na Vladimira, który właśnie, wściekły do nieprzytomności, przyniósł kubełek dziegciu, zanurzył w nim szczotkę i zaczął mocnymi pociągnięciami nanosić na białą ścianę czarne pasy, smagał ścianę dziegciem, całkowicie uległ rytmowi swej eks-plozjonalistycznej pasji, nawet się uspokoił, lecz teraz przestał być widoczny przez szczelinę w okiennicach, słysząc było, jak szczotka kilka razy zawadziła o wiadro... ale w szczelinie pojawiła się Tekla, stała tam i przyglądała się pracującemu Vladimirowi, złość i strach najwyraźniej opuszczały ją, w miarę jak jej twarz, ręce i cała postać rykoszetem informowały nas

O tym, co dzieje się tam, dokąd nie mogliśmy zajrzeć... Egon czekał przy drugim oknie sutereny, aż pojawi się tam Vladimir, w tych okiennicach szczelina była większa, więc biegaliśmy na zmianę od jednego okna do drugiego, od Tekli, która teraz nawet coś mówiła, dawała jakieś znaki ręką, dodawała Vladimirowi sił i odwagi... i to ja byłem tym, który ujrzał długi cień Vladimira i jego maniakalną pracę, pracę, którą niszczył suterene Jirzego, jego cień zbliżał się i przesuwał, aż najpierw ukazała się ręka Vladimira, a potem cały Vladimir. Egon Bondy powiedział cicho: Doktorze, to, co widzimy, to właśnie prawdziwe obscena, odsłanianie tajemnic, to cudowne, będę musiał przedyskutować to ze Zbyńkiem Fiszerem... Przez całe ciało Vladimira przechodził prąd elektryczny, a gdy pokonał jeszcze trzy metry, ujrzeliśmy go w stanie euforii, był skupiony i uradowany, a jego rozpogodzona twarz emanowała szczęściem, że oto zwolna nadciąga kulminacja, płamy i bryzgi, i szybki, impulsywny rytm

85

szczotki zanurzanej w wiadrze z dziegiem, wszystko to lśniło tak, jak o tym marzył, by przepuścić wymazany dziegiem klozet przez prasę, tak pracował teraz, otrzymując w zamian pokrytą dziegiem ścianę, folgując jakiemuś cierpieniu, którego przyczyn nie znaleźliśmy. A ledwie zdążyliśmy się odwrócić, ujrzeliliśmy, jak plecy malarza uniosły się, usunęły na bok, i kobiecy portret, ta masa olśniewającego ciała przyozdobionego owłosieniem w kroczu, pod pachami i na głowie rozjarzył się wszystkimi barwami, i w tej mierze, w jakiej ten obraz nabrał mocy, w tej samej mierze malarz opadł z sił, usiadł, oklapł, ręce zwisały mu przez kolana jak dwa ręczniki, kobieca ręka ujęła porcelanowy uchwyt, pociągnęła za niego i żaluzja z przeraźliwym hukiem uniosła się do góry... A potem Vladimir, kiedy już zapewne wymazał wszystkie ściany tej ogromnej sutereny, przeszedł powoli, jakby ślady jego stóp więzły w gęstniejącym dziegiu, trwało to dłuższą chwilę, nim od pierwszej szczeliny w okiennicach przeszedł do drugiej... on także był o dziesięć centymetrów niższy, zgarbiony, zmarszczki przy ustach zwisały mu jak para wąsów... Tekla wolno szła za nim, zamyślona, przeszli korytarzem do drugiego pomieszczenia, do tak zwanej kancelarii, suterena opustoszała, Egon Bondy odwrócił się i zgasły także światła na tamtym pierwszym piętrze, Egon milczał, wyciągnął rękę i podał mi tę swoją delikatną, dziewczęcą dłoń, żebym sam się przekonał, jak drżą mu palce, kiwał tylko głową, włosy opadały mu na czoło, wyglądał jak Dionizos na kacu... Następnego dnia przybiegła Tekla i już na podwórzu załamywała ręce. — Doktorze, doktorze, litości, doktorze! — wołała. — Niech pan zaraz do nas

przyjdzie, Vladimir oszalał! Włożyłem marynarkę i starałem się dowiedzieć po drodze, w czym rzecz, ale Tekla tylko załamywała ręce. Kiedy zszedłem do sutereny, okiennice wciąż jeszcze były zamknięte, a chłodne piwniczne powietrze przesycone wonią trzeszczącej jarzeniówki, podczas gdy na zewnątrz świeciło słońce. Vladimir leżał na łóżku przy ścianie, ściana mieniła się plamami i bryzgami dziegciu, cała ta suterena przypominała budowlę na palach, otoczoną czarną palisadą, płotem z ciemnych sztachet, podziurawionych armatnimi kulami i kartaczami potężnych ciosów szczotką umaczaną w asfalcie. Całą głowę Vladimira zdobiły krwawe sińce i guzy przerażających rozmiarów, niektóre z nich sterczały jak rogi. Zapytałem: Na miłość boską, Vladiczku, co się z panem dzieje? A on, żeby wytłumaczyć mi to bez słów, podniósł się i znów zaczął walić głową w mur, przyprawiał się o wstrząs mózgu, bijąc z zapalem głową w mur, tak by każdy cios pozostawiał na jego głowie odcisk z dziegciu i wapna. Dосkoczyłem i próbowałem go powstrzymać, ale wyrwał mi się z olbrzymią, maniacką siłą, podbiegła Tekla, ale wyrwał się nam obojgu, jakbyśmy byli dziećmi, i znowu tłukł głową w mur, znowu go złapaliśmy i wywlekliśmy z łóżka na środek sutereny, ale on ciągnął nas, jakbyśmy nie ważyli więcej niż nasze ubrania, do ściany, i stojąc tłukł głową w mur, a te potężne uderzenia rezonowały w naszych dłoniach... od ostatniego ciosu prawie zemdłał, zatoczył się i pozwolił zaciągnąć się do łóżka. Przyłożyłem mu dłoń do czoła i czułem, jak nabrzmiewają stłuczenia i obrażenia głowy. Tekla moczyła ręczniki i kładliśmy mu je na zmianę na czoło, trasę Tekli od kranu w korytarzu, skąd przynosiła te okłady,

znaczyły lśniące krople wody... Potem poprosiłem Teklę, żeby pobiegła po płyn Burowa, dużo waty i opatrunków... Kiedy jej nogi wbiegły po schodach, a prawy pantofelek wsunął się na ulicę, dostrzegłem przez szczelinę jej nogi przebiegające obok okiennic... Vladimir ocknął się... — Vladimirze — powiedziałem — co pan znowu wyprawia, czemu się pan tak poharatał?

Vladimir odwrócił głowę do poduszki i szeptał, zalewając się łzami: Opowiedziała mi o tych chłopakach, którzy ją mieli, jak w końcu ją zostawiali, a ona kładła się na łące z twarzą w kretowisku i jadła z rozpaczy tę zrytą ziemię... i to mnie tak wzruszyło... że chciałem jej pomóc... wziąć na siebie część tego zła, które jej wyrządzono, żeby je pomniejszyć... A poza tym, żeby widziała, że zrobię dla niej wszystko... żeby sprawić jej także radość, żeby wiedziała, że należę do tego dumnego pokolenia, które traktuje życie serio... rozumie pan? Przez chwilę było cicho, po chodniku tam i z powrotem kroczyły czyjeś nogi, szybko, to znów powoli, zgodnie z tym, jak każdy z ludzi niósł obok sutereny Vladimira swój los... Potem drzwi otworzyły się z impetem, już przedtem ujrzałem Teklę, jak nadbiega, dostrzegłem dłonie ze stertą opatrunków i paczek waty... widziałem, jak stanęła przed zamkniętymi drzwiami, szybko zorientowała się w sytuacji, jak myszka, uniosła nogę i podeszwą jak dłonią nacisnęła klamkę, a kiedy weszła, trąciła drzwi tyłeczkiem, by się zamknęły. Założyliśmy Vladimirowi opatrunki, wpierywając ranę środkiem odkażającym i przykładając watę nasączoną płynem Burowa. Stałem potem na ostatnim schodku, musiałem się schylić, żeby widzieć łóżko, Tekla siedziała u wezglowia i nie wiedząc, co jeszcze może zrobić, poprawiała poduszkę,



wyrównywała rogi pod głową Vladimira, który wodził za jej palcami błogim spojrzeniem... — W porządku? — zapytałem. — W porządku — odpowiedziała Tekla, a Vladimir uśmiechnął się i zaśmiał cichuteńko: Cha-chachacha...

Widziałem dwóch ludzi z odciskiem palca bożego na czole. Vladimira i Egona Bondy'ego. Dwie chluby myśli materialistycznej, dwóch Chrystusów przebranych za Leninów, dwóch romantyków, którym dane było w wieku dwudziestu pięciu lat spenetrować najgłębsze zakamarki uniwersyteckiej biblioteki...

Upodobaliśmy sobie z Vladimiren! bar Świat, ponieważ pani Vlasztovkova zawsze miała dobry humor i jeszcze lepsze piwo. Ale kiedy poznaliśmy historię baru, pałacu, restauracji i kina Świat, chodziliśmy na każdy film. Tam, W Żydach, jak to nazywają, był kiedyś folwark, którego właściciel nazywał się Świat. Wbił sobie do głowy, że takiego nazwiska nie nosi bez powodu. Więc sprzedał wszystko, jeszcze się zapożyczył i wybudował ten pałac Świat. Na inauguracji kina wyświetlano *Potop*, gigantyczny obraz amerykański, ale to było nic wobec wód podskórnych Wełtawy! Podczas gdy na ekranie padał deszcz, lało jak z cebra i arka Noego zmagala się z nawałnicą, do piwnicy kina wdarły się wody podskórne Wełtawy, widzowie siedzieli po kolana w wodzie, ale film musiał być wyświetlony do końca. I tak przedsiębiorca Świat stracił na kinematografii milion koron. Zastrzelił się. Dziś podczas każdego seansu słychać, jak pracują pompy. A nad restauracją znajduje się żelazny globus i napis ŚWIAT. Egon Bondy, kiedy Vladimir zabrał go do kina Świat, usłyszawszy te pompy i całą historię, rozdarł się podczas kroniki: Jebał to wściekły pies! Trzysta kin

w Pradze, ale jedyne w swoim rodzaju jest tam, gdzie mieszka Vladimir! Kurwa fiks! Tfu! Tfu! Tfu! — pluł i wrzeszczał, a że akurat w trakcie kroniki, na której witaliśmy przywódcę bratniego kraju, bileterzy włączyli światło i wyprowadzili Bondy'ego, zwracając mu uwagę, że jego wrzaski mogły by mieć nieprzewidywalne następstwa dla całego świata...

Siedzieliśmy przed południem przy pilsnerze Pod Słowiańską Lipą. Najpierw w ogródku, a potem, gdy słońce się przesunęło, wyszliśmy za nim na podwórko i patrzyliśmy na ganek, na którym stoi rzeźba Jana Nepomucena naturalnych rozmiarów. Faceci przy stole świntuszyli: Ta to miała taką, że pies od rzeźnika pięknie by w niej pociągnął, gdyby założyć mu ją na kark zamiast chomąta... Panowie, stosunki seksualne z żoną w pięć lat po ślubie powinny być uznane za kazirodztwo i karane więzieniem... Ta znowu miała taką, jak wół pysk, kiedy ziewa. Zabraliśmy swoje kufle i weszliśmy do środka. Tam przysiadł się do nas postawny chłopak ze świeżymi opatrunkami na oczach, a kiedy pił, musiał unosić głowę, tak jakby płukał sobie gardło. — To nic takiego — rzekł, nie tracąc animuszu, ale po dwóch piwach powiedział: Poparzyłem się łukiem. To był spawacz. Potem opowiadał długo o dziewczynie. Letnia noc. Namacał majteczki. Aż tu pękła gumka. Dalej nie próbował.

— Była piękna, ale przez tę pękniętą gumkę całkiem zwiądłem. I coś takiego przytrafiło się właśnie mnie

— dodał — sam bym sobie dał w gębę. Vladimir inspirował się wspomnieniem o Tekli. Mówił: Moją siłą są moje wady. Czasem mam w głowie takie nadciśnienie, że przydałby mi się jakiś wentyl. Co robić? Uciekła ode mnie... Noszę na sobie jej majtki.

Drugie z kolei. Te pierwsze już podarłem. Są w kopercie. Patrzcie, teraz mam na sobie jej sweter. Całkiem go już znosiłem. Odeszła, bo chciała forsy, a ja ginę z kretesem... Dziewczyna, która potrafiła natchnąć ostatnią szuję, mnie poskapiła nawet tego. Żeby się choć odezwała, przyrodzeniem pisałbym do niej listy... — wołał Vladimir i wybiegł do ogródka, a potem na podwórko, na słońce, stał oparty o ścianę i łzy płynęły mu po policzkach, nie ocierał ich, zapłaciłem i ruszyliśmy zatłoczoną aleją, ludzie myśleli, że Vladirowi umarła mamusia albo dziecko, weszliśmy na jezdnię na czerwonym świetle, ale kierujący ruchem funkcjonariusz pomachał pręgowaną marszałkowską buławą, żebyśmy szli dalej, dawał nam znak, że rozumie, zatrzymał nawet samochody, przechodziliśmy na drugą stronę jak jakaś karetka, jak strażacy, kiedy jadą do pożaru lub do wypadku drogowego. Doszliśmy tak aż na Libeń, do Króla Jerzego. Tam Vladimir ocierał sobie łzy, usiedliśmy za stołem, przy którym spał pijany stolarz z Kotlaski. Potem wszedł chłopak z rozległą łysiną, z którą jednak było mu do twarzy, położył na stole worek z gołębiami, gołąbki wciąż podnosiły się i przewracały, chłopak szturchnął je i ptaszki się uspokoiły, na chwilę dały za wygraną. Ktoś przy sąsiednim stole kończył orację: A tak, panowie, Haszek to dopiero był ktoś, do czterdziestego roku życia napisał jedną powieść i sześćset opowiadań, czy ktokolwiek zrobił więcej? He? Na to podniósł się pijany stolarz i powiedział: Ja przez całe życie zrobiłem sześćset szaf. A ten Haszek? Ten drań? Zona go czytała i tak się przez niego rozwydrzyła, że ode mnie uciekła. Haszek rozbił moje małżeństwo — powiedział pijaczyna, i zanim znów zapadł w sen, rozparł się na obrusie

i na poparcie swych słów uderzył pięścią w worek, w którym gołąbki wciąż próbowały stanąć na własnych nogach. Worek sflaczał, a po chwili na białym obrusie pojawiła się rosnąca plama przesiąkającej krwi. Łysawy przystojniak odetchnął z ulgą: Przynajmniej nie muszę ich dusić... A Vladimir poderwał się z rozjaśnioną twarzą: Ależ ze mnie niedojda, doktorze! Kupi mi pan dziesięć arkuszy papieru? A farby? Ile tylko będę potrzebował? No, to chodźmy — wskazał plamę sflaczałych gołąbków i na pijaka, i w drzwiach krzyknął: Rzeczywistość wyprzedza mnie... jeszcze dziś wieczór spróbuję ją dogonić... Tak więc całe życie Vladimira przypominało pracę ludzkiego serca, które myśli. Przywiązywał wagę tylko do tych przeżyć, które mógł spożytkować. A zatem nie do wszystkich, lecz jedynie do tych, które pobudzały jednocześnie jego intuicję twórczą i intelekt. Za kryterium służyło mu zawsze drzenie i dzwonienie w całym ciele, system sygnałów, który towarzyszył mu od dzieciństwa, to, co było na początku istnienia, plazma, płynące nasienie, które wszystkimi pepowinami powraca aż do gładkiego, pozbawionego pepka brzucha pramatki Ewy. Twórczość Vladimira to zatem regres-sus ad originem, Vladimir wykorzystywał swoje doznania, by dać się wessać do łona matki i, nawlekając przez głowę jedną vaginę za drugą, jak sweter, powracać do wielkich Matek, jak Goethe. Lecz powrót Vladimira, regressus ad originem, to równocześnie także progressus ad futurum. Krąg się zamyka, pierwszy dzień stworzenia świata zbiega się z jego kresem... wiecznością... Erekcja oraz ejakulacja Vladimira miały wymiar transcendentalny, jego nasienie zdolne było zapłodnić

dziewicę. To właśnie jest to wstrzykiwanie oleju bez pomocy gaźnika pod same świece. To tylko i wyłącznie kwestia wytrzymałości materiału... i dzieło myśli! Laska! Także Bóg katolików jest zdolny do działań bezpośrednich, bez przyczyny sprawczej, bez pomocy gaźnika. Cel, pał! Pewnie jak w banku. Anna Hea Mulge. Ojciec, Syn i Duch Święty. Niepokalane poczęcie Marii Panny, poczętej bez pomocy gaźnika, bezpośrednio, wyłącznie siłą Ducha. Tak samo z Vla-dimirem. Namaszczony i pomazywany własnym nasieniem, gdy pracował przy prasie i kładł ją na łopatki, gdy zakładał jej fińską dźwignię i podwójnego nelsona, sam będąc pomazany, namaszczał wszystko swoim nasieniem, także dzieciątko, które wyskakiwało z vaginy prasy na drugą stronę w postaci grafiki. Grom, który najkrótszą drogą zmierza ku ziemi...

Tak więc to, co kończyło się skrajnie subiektywnie, zyskiwało wymiar obiektywny, stało się niezależnym światem, do którego Vladimir został wprowadzony, wywołany po imieniu, wpuszczony bez biletu, pochłonięty bez reszty przez sam tylko ruch materii, wraz ze swoimi grafikami został wystrzelony w przestrzeń, w której myśl ludzka stawia opór. Względne wyzwolenie doprowadziło go do absolutnego zniewolenia, które nie potrzebuje już ani wytłumaczenia, ani uzasadnienia, w którym człowiek jest tym, którym jest. Tożsamość muzyki sfer i rzeczy porzuconych na ziemi. Gra absolutna, fruitio dei, monada monad, ens realissimum, Ding an sich selbst, jaskinia, w której można dostrzec nie cienie rzeczy, ale same idee. Tak przekroczył granicę, wkroczył tam, wznosił się ku temu, co nas przerasta. Vladimir jak pierwotny Syn Boży

zwrócił się do materii i czynu, i odegrał na nowo dramat autentycznej miłości do Wszechświata i do Człowieka. Wiele razy musiałem opowiadać Vladimirowi dwie historie, które wprawiały go w niepojęte wzruszenie. Historię Sepa Brumla i jego przyjaciela, którzy tak bardzo lubili ze sobą rozmawiać, że kilka razy z rzędu odprowadzali się przez most libeński, pan Sep dojechał ze swym przyjacielem windą aż do jego mieszkania, ale dialog, jaki prowadzili, był tak zajmujący, że zjechali windą z powrotem na dół, przeszli przez most i dojechali windą do drzwi pana Sepa, który włożył już klucz do zamka, ale rozmowie wciąż nie było końca, więc znowu zjechali windą na dół i Sep jeszcze raz odprowadził swego przyjaciela na Libeń... Ale za najpiękniejszą historię Vladimir uważał legendę o przyjaźni pana Kocourka, kierownika szkoły w Velence, i pana Talacka, kierownika szkoły w Sernicach, którzy, gdy wypili swoje piwa w gospodach, ukoronowani gwiazdami, odprowadzali się tunelem nocy, za każdym razem do samej furtki, gdzie zawsze dochodzili do wniosku, że jeden drugiemu winien jest jeszcze jedno odprowadzenie, nie mówiąc o tym, że problem wychowania młodzieży wymaga tak wielu dodatkowych przemyśleń, że znów odprowadzali się od jednej furtki do drugiej, odległej o trzy kilometry. W miesiącach letnich odprowadzali się w ten sposób aż do świtu i jedynie zmęczenie zmuszało tych dwu przyjaciół, by położyli się spać. Kiedy pan kierownik Talacko jechał z Porziczan do Pragi, przyjaciele umawiali się na pociąg, którym pan Talacko będzie wracał, i potem pan nauczyciel Kocourek wychodził z gospody tak akuratnie, że spotykali się w połowie drogi, w Chraś

cie, w Mandrszejcie, w Mansie, żeby porozmawiać  
O tym, co nowego, a nowin było zawsze tyle, że kiedy doszli do  
Setnie, pan kierownik zostawiał teczkę  
i odprowadzał przyjaciela z powrotem do Velenki. Kiedy  
Vladimir tego słuchał, miękł jak wosk, wyteżając wzrok śledził  
ścieżki tych dwu kierowników szkół i stwierdził, że ci dwaj  
musieli być bardzo szczęśliwi. Opowiadałem też Vladimirowi o  
tym, czego dowiedziałem się później, jak to córka kierownika  
szkoły, pana Kocourka, zakochała się w pięknym mężczyźnie z  
Mansu, ale że pan kierownik nie patrzył na ich uczucie łaskawym  
okiem, ten piękniś strzelił sobie w lesie w łeb, dziewczyna  
podłożyła mu pod skrwawioną głowę swoją chusteczkę, a sama  
skoczyła do Łaby w Prziwlakach. Kiedy Vladimir tego słuchał,  
zajrzał w samo serce tej nieszczęśliwej miłości i powiedział:  
Zawsze marzyłem o takiej przyjaźni. A czy ci dwaj przyjaciele  
później także się odprowadzali? Odpowiedziałem, zgodnie z tym,  
co sam usłyszałem, że tak, nawet kiedy przeszli na emeryturę,  
tym częściej wędrowali od furtki w Velence do furtki w  
Sernicach i z powrotem, a gdy nie mogli, to przynajmniej  
codziennie do siebie pisali, posyłali sobie sprawozdania i  
zawiadomienia. Później nie wracaliśmy już z Vladimirem do tych  
historii, już niemal o nich zapomnieliśmy, ale gdy mieliśmy sobie  
coś do powiedzenia, to Vladimir odprowadzał mnie na Libeń,  
skąd ruszaliśmy znów w przeciwną stronę, by z Grobli  
Wieczności trafić na Plac Konstanejański, przed drzwi  
wejściowe, w które Vladimir wkładał klucz, po chwili jednak,  
zastanowiwszy się, wyciągał go z powrotem, i odprowadzał mnie  
przez Prażaczkę na Groblę Wieczności, podczas gdy kierownik  
szkoły pan Talacko i pan

kierownik Kocourek unosili się nad nami jak obłok sfer niebieskich na barokowym obrazie. W tym czasie, gdy Vladimir opuścił matkę i przeprowadził się na strych na Starym Mieście, skąd przeprowadził się na Libeň, skąd wrócił z powrotem do matki, przyciągany pewnością bynajmniej nie kompleksu Edypa, lecz kompleksu matki jako symbolu tworzenia, w tym czasie, kiedy się odprowadzaliśmy, odkryliśmy przyczynę, dla której nam obu, jako synom nieślubnym, nie doskwiera kompleks ojca, i że to piękne przesłanie, wzgardzić ojcem i żyć samemu z siebie tylko i jedynie kompleksem syna, nie mieć żadnego wzoru poza samym sobą, ale też nigdy nie stać się samemu wzorem, a jeśli już, to takim, którego istotą jest pogarda dla wzoru, żyć zatem na koszt własny i Wszechświata, prowadzić nie kończącą się wojnę z samym sobą, zawierać pokój, który nigdy nie wejdzie w życie, stale być w stanie twórczego napięcia i upojenia. Kiedy Egon Bondy usłyszał o tych rozmowach, krzychał: Nie będę dłużej psuć sobie nerwów Vladimirem! Zabiję go i będzie spokój! Przecież to, o czym mówi, to moje życie, tak żyję ja, lewicowy marksista, w stanie permanentnej rewolucji, w stanie wiecznego buntu przeciw ojcu, ponieważ do tej pory każdego zabitego ojca zastępował syn, który zostawszy ojcem, musiał czekać, aż znów ktoś jego zabije... ale my, kurwa fiks, jesteśmy tylko i wyłącznie synami... niech żyje permanentna rewolucja...!

Kiedy Vladimir żenił się pierwszy raz, byłem jego świadkiem. Kiedy orszak weselny już miał wyruszyć, zawołałem: Na miłość boską, Vladimrze, zapomniał pan włożyć krawat! Więc Vladimir szybko zawiązał krawat, ale nie mógł znaleźć tego ślubnego, białego. Kiedy przyszliśmy na ratusz i goście zajmowali miejsca,



urzędniczka szepnęła coś Vladimirowi na ucho, i rzeczywiście, Vladimir miał na szyi dwa krawaty. Rano, cały w nerwach, wiążąc krawat przesunął go pod obojczyk, więc teraz miał na szyi nie jeden krawat, lecz dwa. On, który zawsze nosił krawaty z fasonem, latem opuszczone do połowy masztu, nosił je z takim niepowtarzalnym wdziękiem, jakby całą noc, do świtu, pisał wiersze, włócząc się po knajpach. Pewnego ranka, na Libni, jeszcze zaspani, okropnie się wystraszyliśmy. Vladimirowi tak spuchła noga, że nie mógł wzuć buta, więc założył kapeć i po południu poszliśmy do przychodni, prosto do doktora Adama. Słyszeliśmy przez drzwi jego dobrotliwy, kojący głos: No, nie płacz już, mamciu, tylko się, dziewczyno, rozbierz, przecież cię nie zauroczę, no już, smarkata, nie masz się czego bać, ja już jestem taki sam stary, jak ty, no dalej... A gdy Vladimir, wspierając się na mnie, wszedł do białego gabinetu, doktor Adam, w binoklach, z wygoloną głową, wyglądający jak niedoścignione uosobienie humanitaryzmu, powiedział: No co, smarkacze, schlaliście się, tak? Pokaż to, durniu... Vladimir wyciągnął nogę, doktor oglądał tę obolałą, spuchniętą kończynę... A potem otworzył drzwi i rozwrzeszczał się dobrotliwie na całą poczekalnię: Zmiataj stąd, matole, zanim wykopię cię po schodach pod sam tramwaj na Palmovce... Wybiegliśmy stamtąd co sił w nogach, a doktor Adam tłumaczył poczekalni i naszym oddalającym się plecom: Przecież ten kretyn naciągnął po pijaku trzy skarpetki na jedną nogę! Kiedy Egon Bondy usłyszał o tej spuchniętej nodze Vladimira, darł się wniebogłosey: Ja już się przestanę z tym Vladimirem zadawać, ale wpierw każę go zapisać do Klubu Praskich Kawalarzy, na którego czele stoi syn właściciela

zakładu pogrzebowego Schönbach...! Ten Vladimir przerasta dadaistów i Haszka, jest prawie taki, jak ja. Kurwa fiks, ja od tego zwariuję...

Siedzieliśmy jeszcze z trzema klientami na chodniku przy ulicy Brackiej, było wpół do pierwszej po południu, kufle z piwem stawialiśmy na podstawkach rozłożonych na krawężniku i popijaliśmy z wolna, za plecami mieliśmy opuszczoną roletę gospody U Przemyśla, restauracji, w której była niegdyś siedziba związku przewoźników i woźniców, aż tu ulicą Na Żertwach nadchodzi Egon Bondy, on także zobaczył nas z daleka i zbliżał się niepewnym krokiem. Vladimir zaproponował mu miejsce obok siebie, w pierw rozłożywszy na chodniku chustkę do nosa, ponieważ Bondy był w nowych spodniach, tak zwanych lazeńs-kich... — Co wy znów, do cholery, wyprawiacie? — zapytał Bondy i sięgnął po piwo, które wynieśliśmy na krawężnik nadliczbowo. Vladimir szepnął: Kierownik gospody, jak go to najdzie, dwa razy w tygodniu wyrzuca nas za drzwi, a jak zamyka, mówi: A co się będę męczył...? — Co takiego? — przeraził się Bondy.

— On strasznie kocha swoją żonę — szeptał Vladimir — więc kiedy go to najdzie, goście muszą poczekać te pół godzinki na dworze, rozumie pan? — Do jasnej cholery, kurwa fiks, to taki młodzieniaszek? — Bondy wystraszył się nie na żarty. Wtem groźnie warknęła za nami roleta, z piekielnym łoskotem wślizgnęła się cała pod sufit i wyszedł stary pan Buresz w białym fartuchu, goście podnieśli się, każdy zabrał swoją podstawkę i opróżniony tymczasem kufel, i wrócili do knajpy, każdy na swoje miejsce. Egon Bondy patrzył to na starego pana Buresza, to znów na jego żonę o posiwiałych już włosach, lecz z rumieńcem na twarzy, przyglą

dał się, jak nalewa piwo, jakby nigdy nic... — Uknuliście to przeciwko mnie — cicho krzyczał Egon. — Vla-dimirze! Doktorze! Zmówiliście się, żeby mnie złamać! Ja od tygodnia, specjalnie z myślą o was, rozmyślałam nad buddyzmem-zen, nad tym, że Rosja to nie Dostojewski, lecz Gogol, a wy do mnie z happeningiem, po którym nieprędko się pozbieram. Kurwa fiks...!

Lubiliśmy też chodzić z Vladimiren! do knajpy Na Dziedzińce. Nie dlatego, żebyśmy tak bardzo przepadali za żytnią z graniastych kieliszków, lecz dlatego, że w tej knajpie nie było okien, więc Vladimir lubił stać w półmroku, szczególnie gdy na zewnątrz była piękna, słoneczna pogoda, światło wpadało tylko przez oszklone drzwi, więc Vladimir czuł się tam tak, jakby szedł po ulicy w tym swoim czarnym kapeluszu, wciśniętym na oczy. Później kręciliśmy się przed tą knajpą Na Dziedzińce na kwadrans przed tym, zanim właściciel zdjął żelazną sztabę i otworzył ciężkie dębowe drzwi, przypominające parę anielskich skrzydeł. Kwadrans przed otwarciem przyszła także staruszka z blaszanym kubkiem w dłoniach, usiadła na schodku i czekała, na pięć minut przed otwarciem nie mogła już wytrzymać, podeszła do drzwi knajpy, przycisnęła do nich ucho i nasłuchiwała w trwodze, czy właściciel czasem nie umarł albo co? Gdy z wnętrza knajpy dobiegały jakieś oznaki życia, stukała lekko blaszanym kubkiem w an-tabę, jakby była przysypana ziemią i dawała sygnały ratownikom. Kiedy drzwi wreszcie się otworzyły, pierwsza wbiegła do alkierza, zamówiła dwieście gramów żytniej wódki i wypiła ją na stojąco, powoli, łzy szczęścia spływały jej po twarzy, potem zamówiła jeszcze raz to samo, upiła trochę na schodkach i ruszyła z kubkiem do domu, rażnym, żwawym krokiem,

przepełniona szczęściem. Vladimir zapytał właściciela: Za pozwoleniem, ile ta pani ma lat? Właściciel opłukał kieliszki, uniósł je pod światło i nalał nam znów po setce żytniej, po czym odparł: Siedemdziesiąt sześć, a wieczorem znowu tu przyjdzie. Vladimir na to: Doktorze, wypijmy za zdrowie tej pani. Jeśli, kiedy stuknie jej dziewięćdziesiątka, trafi pod opiekę lekarza z prawdziwego zdarzenia, spokojnie dociągnie do sto trzydziestki, tacy ludzie są nie do zdarcia. — Święta racja — przytaknął właściciel, nalał sobie żytniej i dodał: Kiedy to babsko z takim smakiem pije z tej blaszanki, dostaję takiego apetytu, że także muszę się napić! Tak więc podniósł graniasty kieliszek, który zalśnił jak wenecki żyrandol, strzelił obcasami i wychylił go jednym haustem. Vladimir, a potem i ja, kilkakrotnie uroniliśmy na dłoń odrobinę żytniej i wtarliśmy ją w policzki i we włosy, starannie natarliśmy nią szyję. — To dobrze robi na kręgi — powiedział Vladimir, więc wyszliśmy na słońce pachnąc anyżkiem i poszliśmy na piwo do Ferklów, trzy domy dalej, by zażyć trochę ruchu...

Do Hausmanów chodziliśmy z Vladimirem w kapciach albo w bamboszach, ponieważ było to tuż za rogiem. Gdy przywiozłem sobie z Nymburka do Pragi rower, pewnego razu pożyczyliśmy jeszcze jeden do pary, włożyliśmy do teczki budzik, przerażający budzik marki Rosskop, taki z dwoma dzwonekami, który dzwonił tak, że ludzie zrywali się ze snu kilka ulic dalej, i postanowiliśmy pojechać na wycieczkę do Hausmanów. Ledwie zdążyliśmy dojechać do następnego domu, w którym mieściła się wytwórnia patentowanych zniczy nagrobnych, spotkaliśmy FLgona Bon-dy'ego. — Co u licha? — Egon nie wierzył własnym

oczom. — Vladimirku, pan na rowerze, a dokąd to pan jedzie? Ja na to: Egonie, niech pan wskakuje na motylki albo wezmę pana na ramię, jedziemy przewietrzyć się dla zdrowia. Egon Bondy był w dobrym nastroju, więc wskoczył na motylki, skęciliśmy w ulicę Ludmiły, a potem wprowadziliśmy rowery do sieni, oparliśmy je o ścianę i zamówiliśmy piwo. Pan Vaniszta przeraził się: W korytarzu z tymi rowerami? Dokąd jedzicie? Ja mu na to: Lekarz zalecił nam dużo jazdy na rowerze. A pan Vaniszta: A skąd jedzicie? A ja mu na to: Od Fiałów, od nas! Pan Vaniszta krzyczał: Dziś będę miał przesrany dzień!, gdy wtem, w korytarzu, w teczce, zaczął dzwonić austriacki budzik marki Rosskop i pan Vaniszta zamarł z wrażenia, a Bondy razem z nim. — To jakiś alarm, do cholery, gdzie są strażacy, kurwa fiks! Co się stało? A pan Vaniszta wybiegł z kontuaru, ponieważ od tego brzęczenia rowery drgały i kierownice porysowały tynk w korytarzu. Pan Vaniszta już tam stał, trzymał teczkę, w której dzwonił budzik, trzymał tę teczkę, jakby w niej była bomba albo machina piekielna. Vladimir spokojnie tę teczkę otworzył i wydobyl podzwaniający wciąż budzik, postawił go na kontuarze, te dwa młoteczki dzwoniły tak, że budzik aż podskakiwał... I pan Vaniszta sięgnął po ten budzik i wrzucił go do zlewu, ale budzik dzwonił nawet w tej wodzie, co prawda tak, jakby ktoś grał na trąbce z tłumikiem, lecz nie przestawał... a pan Vaniszta śmiał się do łez: To naprawdę nadzwyczajny mechanizm, kudy tam komu do starej Austrii... Kiedy budzik ucichł, wyciągnąłem go, ciekła z niego woda, nakręciłem go, przesunąłem troszkę wskazówkę alarmu i budzik rozdzwonił się z jeszcze

większą werwą i mocą, schowaliśmy budzik do teczki, zapłaciliśmy, a potem wyprowadziliśmy rowery i Bondy wskoczył na motylki i znów przejechaliśmy ze spaceru dla zdrowia ulicę dzielącą nas od domu. Egon Bondy zrobił nam piękny wykład, że skoro Boga nie ma i nie istnieją oddziałujące bezpośrednio idee, bohater czasów nowożytnych, jeśli ma być kimś na miarę epoki, musi być psychopata...

Pewnego razu przed południem szliśmy z Vladimirem przez Karlin, a gdy mijaliśmy gospodę Pod Zielonym Drzewem, zdziwiliśmy się, że choć to lato, pod drzwiami stoją sanki.

Weszliśmy do środka, a tam na rozstawionej drabinie kolebał się malarz pokojowy. Był to pan Nejedlo, który mieszkał u państwa Vanisz-tów na drugim piętrze. Podobnie jak Vladimir, cierpiał na strangulację, okropnie lubił pić i wieszał się raz na kwartał na kłamce, kiedy jego żona wchodziła na ganek, więc zawsze zdążała go odwiązać. Miał piękne, piwne oczy, jak sarna, i lubił nas. Kontuar oraz półki przykryte były obrusem pochłapanym wapnem, lecz za stołem siedzieli już dwaj staruszkowie, zrobili sobie na nim trochę miejsca i czekali, kiedy bufet za parę godzin znów będzie czynny, obydwaj nie mieli już zębów, a że było lato, siedzieli w samych spodniach i pantoflach, już nawet nie zapinali rozporków, każdy miał na stole przed sobą dwie zawinięte w gazetę kromki chleba z masłem, dwaj stali bywalcy, którzy już od dwóch dni przeżywali męki z powodu malowania, więc przynajmniej siedzieli sobie i wpatrywali się w przerzucony przez kontuar obrus. Pan Nejedlo zapytał: Dokąd idziecie?, więc powiedzieliśmy mu, że tylko zajrzeliśmy, na co pan Nejedlo zawołał w stronę kuchni i wyszedł stamtąd kierownik gospody, i przyniósł nam

piwo butelkowe, a dwaj staruszkowie złożyli ręce, więc przyniósł także dla nich... i siedzieliśmy tak z tymi staruszkami, kierownikowi gospody udzielił się nasz dobry humor, przynosił nam piwo, a pan Nejedlo znów kolebał się na drabinie i pryskał farbą na staruszków i na nas, a im bardziej byliśmy zachlapani, tym większy był entuzjazm Vladimira, i tym więcej i szczegółowiej opowiadał, jak to już od czasu, kiedy chodził do szkoły grafiki lubi się wieszać, kopałem Vladimira pod stołem, ale pan Nejedlo wciąż wlepiął w nas, z wysokości poruszającego się metronomu drabiny, te swoje wielkie, sarnie oczy, pochłapani farbą klejową staruszkowie chodzili siusiać i już się nie zapinali, razem uczyli się kowalstwa i tego samego dnia odeszli na emeryturę, obydwaj byli w tej samej sytuacji, ponieważ byli wdowcami, w domu starców robili im rano kanapki, a oni kładli je na sankach, żeby wieczorem przyciągnąć te sanki z powrotem. — I tak powinno być — Vladimir przyklasnął ich spowiedzi. Potem pożegnaliśmy się z panem Nejedlą, Vladimir mówił mi, że ten malarz ma takie piękne oczy, jak dziewczęta na secesyjnych obrazach, jak cały Jugendstil. Trzy dni później pan Vaniszta zaprosił nas na pogrzeb kierownika gospody, związek restauratorów Hostimil grzebał swojego członka, pan Vaniszta, jak przystało na kierownika gospody, miał piękny głos, niemal jak Ben-jamino, potem poszliśmy na stypę do hotelu Splendid, a w końcu pan Vaniszta powiedział, że pójdziemy do niego do gospody i że puści nam taśmę, na której ma nagrany swój głos, jak śpiewa *Adio mare*, a do tego będzie podawał świeżo odszpuntowaną dwunastkę. A kiedy zajechaliśmy taksówką na ulicę Ludmiły, brama, choć było przed północą, stała otworem.

Pan

Vaniszta zerwał się i krzyczał na całą kamienicę: Co to za porządki, dom otwarty na oścież, jeszcze mnie okradną! I chciał zaryglować drzwi, ale z góry schodzili ludzie niosący czarną trumnę, szli na cienkich, krzywych nóżkach. Vladimir patrzył na nich z podniesioną głową, nie był w stanie choćby mrugnąć okiem, i nawet po raz pierwszy obleciał go strach... Z cienia nocy wynurzył się wóz pogrzebowy, umieszczono w nim połyskującą trumnę, a po schodach zeszła na dół dozorczyńni, pani Valeczkova, dawniej trudniąca się handlem węglem, wciąż z podmalowanymi sadzą oczami, chwiała się na nogach, zatrzasnęła podeszwą rygle bramy i powiedziała: Radio, co ja narobiłam... wiesz, kogo wynieśli? Malarza pokojowego Nejedłę, powiesił się przez pomyłkę na klamce... myślał, że Róża idzie, ale ja ją zagadnęłam, ona trzymała klamkę, a w tej samej chwili on wieszał się na niej z drugiej strony... on... Gdybym wiedziała... — powiedziała pani Valeczkova, a ręce miała wielkie jak hokejowe rękawice... Vladimir szepnął do mnie: Doktorze, gdybym się zastrzelił, czy podłożyłby mi pan chusteczkę pod głowę? Pewnego razu Egon Bondy zgodził się przeczytać nam któreś ze swych opowiadań. W tym celu kupił sobie piękny krawat w czerwone groszki, a potem zgodził się pójść z Vladimirem! po dwa wiaderka piwa, żeby przed czytaniem opanować treść. Więc najpierw przynieśli dwa wiaderka piwa od Liszków, a potem dwa wiaderka piwa ze Starej Poczty. W końcu Bondy zgodził się pójść po dwa wiaderka piwa do Haus-manów, ponieważ czuł, że wciąż jeszcze nie jest w stanie odczytać jak należy swojego opowiadania, swojego artefaktu. Ale gdy przyszli do Hausmanów,



było już zamknięte. Egon Bondy zaczął tłuc pięścią w drzwi, wpierw jedną, później dwoma, potem razem z Vladimirem stukali w szyby cynowymi wiaderkami i nasłuchiwali, ale pan Vaniszta wciąż nie otwierał.

— Hergot, kurna — krzyczał Bondy — hej, szynkarzu, wstawaj, poeci przyszli po piwo! I wtem od jednego z jego uderzeń wiaderkiem pękła szybka i szkło posypało się z brzękiem na betonowy trotuar. — Hej, chluby narodu przyszły się napić, a ty się tam lenisz?

— grzmiał Bondy, i kiedy pochylił się, aby zajrzeć przez wybitą szybę do wnętrza lokalu, drzwi otworzyły się z hukiem i wypadł z nich odziany w spodenki gimnastyczne stukilowy pan Vaniszta, wściekły jak diabli, z bykowcem w ręce, ale gdy zauważył Vladimira, którego lubił, zamarł z uniesioną, gotową do ciosu ręką, w której ścisnął bicz, bykowiec, oplecione stalowym drutem wypchane bycze przyrodzenie. — Na co pan sobie pozwala? — wołał Egon Bondy, podczas gdy Vladimir załamywał ręce — podniósł pan rękę na poetów, tak? — wołał Bondy, ale i pan Vaniszta zaczął krzyczeć: Kto zapłaci za te stłuczone szybki, kto? kto? kto? no kto? A Egon Bondy: Niech pan nam w tej chwili da dwa wiaderka piwa, piwo dla poetów! — zażądał, na co pan Vaniszta znów uniósł bykowiec, ale Vladimir powstrzymał go błagalnym spojrzeniem.

— To pan tak? — rozindyczył się Egon — wie pan, kim jestem? Ja jestem Egon Bondy, poeta! Lecz pan Vaniszta na to: Pocałuj mnie pan w dupę. Kto mi zapłaci za te szyby? Dobra, jak jesteś poeta, to zaraz dostaniesz w pysk! A na to Egon Bondy zagrzmiął: Kogo chcesz pan bić? Mnie, poetę? Czeka pan, jak powiem o tym filozofowi Zbyńkowi Fiszerowi, ten panu da po ryju...!

— krzyczał Egon Bondy, i w tej samej chwili zdążyłem



nadbiec, i powstrzymać uderzenie bykowcem, tym wypchanym byczym przyrodzeniem, oplecionym stalowym drutem, wołając: Ladio, za wszystko zapłacę, no co ty, nie widzisz, że to prawdziwy poeta? I pan Vaniszta zwiotczał, jego poczerwieniały kark odzyskał zwykłą barwę, ręka z bykowcem opadła. Roześmiał się i powiedział: A wiesz, doktorze, że to faktycznie poeta? Od razu wiedziałem, jak tylko rozbił te szybki, no wchodźcie, chłopaki, do środka, więc powiadasz poeta? Troszkę nerwowy, ale kto ma dziś być nerwowy, jak nie poeci, prawda...? A potem Egon Bondy przeczytał nam na Grobli Wieczności piękne opowiadanie o Antonim, o tym, jak szedł przez zieloną granicę do Bawarii i co przeżył w ciągu dwudziestu czterech godzin, jeszcze dwa razy skoczyliśmy z wiaderkami po piwo i dopiero wtedy Antoni, po wielu perypetiach, kiedy już myślał, że ta chałupa przed nim to budynek bawarski, gdy dobiegł do niej krzycząc z radości, zobaczył, że to znów ta sama chałupa, z której wyruszył. Później Egona Bondy'ego ogarnęła zgroza na myśl, że już wszystkie knajpy pozamykają i będziemy usychać z pragnienia, więc obudził lokatorkę z parteru, tam, gdzie dawniej był magiel, pożyczył od niej konewkę i wiadro, i pobiegliśmy jeszcze wszyscy trzej po piwo, kazaliśmy je sobie nalać do tych naczyń. Gdy wypiliśmy wszystko i Egon Bondy, żeby piwo z niego nie ciekło, chodził z zadartą głową, jakby miał krzyż w gipsie, Bondy dopiero wtedy zgodził się, żebyśmy odprowadzili go do tramwaju. A gdy czekaliśmy na przystanku, Bondy upadł na wznak, osunął się głową po rolecie, w którą najpierw uderzył z hukiem. A była to roleta, za którą znajdował się posterunek policji, więc wybiegli stamtąd dwaj funkcjonariusze i sierżant L06

w niedopiętym mundurze, Bondy leżał na plecach, pomogli mu usiąść, a wszystkie trzydzieści stron opowieści o Antonim, który przekraczał granicę, te kartki leżały porozrzucane na ziemi, jak losy w kolekturze loterii klasowej. Vladimirowi i mnie odjęło mowę ze strachu, za to Egon Bondy: Sierzancie, czy nie widzi pan, co się dzieje, do diaska! Zbieraj mi pan te kartki, łap ten mój tekst, himl, rusz się pan, zanim tramwaj nadjedzie, kurwa fiks! I młodzi funkcjonariusze zbierali te kartki z historią Antoniego, który chciał uciec z ojczystego kraju do wrogiej Bawarii, a sierżant, w miarę jak mu je podawali, zaglądał na chwilę do tekstu, niektóre strony czytał niemal w całości i potakiwał, aż wreszcie, gdy zwolna nadjechał niemal pusty tramwaj, ruchem brody dał znak i młodzi funkcjonariusze pomogli Egonowi Bondy'emu wsiąść do wagonu, a Egon Bondy już nawet śpiewał, potrząsał zaciśniętymi w palcach kartkami, które podał mu sierżant, i śpiewał: Nie wpada ludziom do głowy, że marksista lewicowy..., a sierżant dodał ze smutkiem: Lewe to on ma ręce..., i machnął ręką, młodzi funkcjonariusze zniknęli w ciepłym posterunku, a sierżant odwrócił się na ostatnim stopniu i rzucił jeszcze, widząc, że nie możemy dojść do siebie: Macie szczęście, że nie czytał tego żaden ubek, dobranoc! I z potwornym łoskotem opuścił roletę. Vladimir powiedział: Ten Egon Bondy wciąż jest pełnym wdzięku, rezolutnym chłopcem, urządził nam miły wieczór... ale ja chyba zaraz rzygnę, a pan, doktorze...?

Kiedy Vladimir mieszkał na Grobli Wieczności, a zresztą także potem, nosił okulary... właściwie posługiwał się tymi okularami, jakby to było lorgnon. Używał okularów, kiedy napotkał coś godnego uwagi,

# 1

i nawet ich nie rozkładał... jak jakiś przysięgły grafolog lub filatelista... lubił też nosić okulary, którym czegoś brakowało, na przykład jednego szkła, ale najczęściej jednego z tych elementów, które się wsuwa za ucho. Czasem Vladimir, by podkreślić swój wrodzony wdzięk, uszkodzone w ten sposób okulary drutował, innym razem przywiązywał odłamaną część do okularów sznurkiem, czasem zawiązywał ten sznurek na supeł i dokładnie przycinał nożyczkami, innym razem ten szpagat zwisał mu niemal do brody... zawsze jednak było to wykonane tak, żeby było w tym coś z artyzmu, żeby wyglądało jak należy... Nikt bowiem nie przyłapał Vladimira na tym, że nie byłby artystą, żywym posągiem, kimś takim jak w świecie przyrody sarna lub żbik...

Kiedy Vladimir żenił się po raz drugi, w Krumlovie, poprosił mnie, żebym był świadkiem. Lecz co za niespodzianka, kiedy uruchomiłem auto, nie mogłem w żaden sposób wydostać się z Pragi, ponieważ przybyły do nas sprzymierzone armie, żeby likwidować to, czego wcale nie było. Wróciłem więc do domu i poszedłem na wystawę w Ujeżdżalni Wallensteina, dobijałem się do drzwi, ale wystawa została odwołana z powodu przybycia wojsk. Kiedy dowiedział się o tym Egon Bondy, krzyczał: Kurwa fiks! Ten Vladimir! Czy ja będę miał kiedyś takie szczęście, żeby z powodu mojego ślubu tyle armii opuściło koszary? Tylko raz mi się poszczęściło, doktorze, kiedy poprosiłem pana

0 przekazanie pozdrowień Rudiemu Dutschkemu,

1 akurat wtedy, gdy wchodził pan z pozdrowieniami do jego domu, wynosili Rudiego z przestrzeloną głową. Ale pięć armii wyprowadzonych z koszar, żeby nie dopuścić do ślubu, to już naprawdę nie byle co, ja nigdy

nie zdołam wplątać się w coś takiego! A dlaczego? Ponieważ Vladimir zawsze prowokował wielkie wydarzenia i nieszczęścia. Otóż to. Kurwa fiks, ten to ma szczęście!

Siedzieliśmy z przyjaciółmi Pod Kocurem, zaraz naprzeciw bufetu, Vladimir obok poety Maryśki, który w latach pięćdziesiątych, tak jak i my, przyszedł na Groblę Wieczności z trzema walizkami i z nami zamieszkał, spał za odsuniętym piecem kuchennym, ponieważ stale było mu zimno. Vladimir co najmniej dziesięć razy chciał zgładzić pana Maryśkę tylko dlatego, że pan Maryśko przy każdym spotkaniu zadawał mu to samo pytanie: Czy umiałby pan namalować rękę? Vladimira za każdym razem trafiał szlag i ostrzył pilnikiem siekierkę pod naszymi oknami... ale dziś na pytanie pana Maryśki: Czy umiałby pan namalować rękę?, Vladimir tylko się uśmiechał... Tak więc siedzieliśmy z przyjaciółmi Pod Kocurem, w miłej atmosferze, pan Czihak, który uprzednio pracował Pod Złotym Tygrysem, z fantastyczną wprawą napełniał kufle, gdy naraz otworzyły się drzwi, czyjaś ręka odsunęła czerwoną kotarę, i do lokalu wszedł reżyser Forman w towarzystwie swego asystenta Passera, a kiedy słynny reżyser spojrzał w naszą stronę, zaczął krzyczeć z zachwytem: Ranidło, ranidło! Ranidło! Ranidło! Patrzył w kąt na Vladimira i znowu krzyczał: Pamięta pan? Ranidło! No, jakże! Rozpalony hak, unoszący się nad moimi przegubami! Wszyscy patrzyliśmy z podziwem na Vladimira, jakie cudowne wydarzenie znów wisi w powietrzu Pod Kocurem, ale Vladimir nie mógł sobie przypomnieć o co chodzi, podniósł się tylko, wyciągnął rękę, a pan Forman podszedł do stołu, podał rękę Vladimirowi, ale patrzył

na pana Maryśkę, poetę, który siedział zgarbiony pod brzemieniem problemów seksualnych i erotycznych obok Vladimira, Forman siadł za stołem, położył dłoń na ramieniu poety, i zaczął mówić z zachwytem, tak, byśmy słyszeli nie tylko my, ale i goście przy sąsiednich stołach: Czy jest pan panem Maryśką? No tak! Uczył pan za Protektoratu muzyki w Czaslaviu? Uczył pan! Otóż ja jestem pańskim uczniem, dziesięcioletnim wówczas Miłoszem Formanem! Panowie! Pan Maryśko przy każdej gamie stukał mnie delikatnie dębową laską, którą nazywał ranidło. No właśnie, ranidło! A ja któregoś razu powiedziałem: Proszę pana, gram źle, bo tu jest zimno! A pan nauczyciel Maryśko na to: Dobrze, uczniu Formanie, podejdź do okna i powiedz, co tam widzisz? Wyjrzałem przez okno na plac i powiedziałem: Widzę tam, proszę pana, posąg budziciela, księdza Ulickiego. A pan nauczyciel Maryśko: Dobrze, uczniu Formanie, a co w tym posągu zwraca twoją uwagę? Odpowiedziałem: Ze nie ma rąk, proszę pana, bo mu je ucięli jego wrogowie. A pan nauczyciel Maryśko zawołał: Właśnie, uczniu Formanie, i ciebie, jeśli nadal będziesz tak grał, spotka to samo... wracaj do ćwiczeń, rozpalone ranidło już czeka! Zacząłem znowu grać gamy, a pan Maryśko wyciągnął z pieca rozpalony pogrzebacz, trzymał go tuż nad moimi palcami i grzmiał: Jak jest ci zimno, to trzeba ogrzać paluszki...! Pan Forman darł się na cały lokal, a wszyscy byli zachwyceni, ryczeli ze śmiechu i gratulowali panu Maryśce, który odżył w glorii tej nieoczekiwanej chwały, i nikt nie zauważył, że Vladimir wciąż stał, wciąż miał dłoń wyciągniętą tak, jak wtedy, gdy pan Forman wyjął z niej swoją dłoń, Vladimir przeczuł, że zbliża się coś straszego, potem zapłacił, nikt nie

zwrócił na niego uwagi, a Vladimir wyszedł po cichu, zamknął drzwi, zostawiając za sobą gromki śmiech, brzęk kufli i nawoływania: Ranidło! Ranidło! Ranid-ło...! Kiedy dowiedział się o tym wszystkim Egon Bondy, któremu wyrwano na próbę osiem zębów, skakał z radości: Chachachachaaa! Nareszcie! Nareszcie! Nareszcie! Nareszcie poetycka nadrzeczywistość zakręciła swoje cudowne kurki, nareszcie opuściła Vladimira, nareszcie nadszedł kres jego zwycięskiego chachachachaaa! — radość biła z opuchniętych policzków Bondy'ego, ale wnet pierzchła gdzieś i Bondy przemówił głosem pełnym złych przeczuć: Tak cieszyłbym się dziesięć lat temu, ale nie dziś, ponieważ to, co stało się Pod Kocurem, to nie tylko wstępne kotły symfonii przeznaczenia Vladimira, ale i bicie w bębny mojej, łzawej i kojącej, melancholijnej fantazji... ponieważ ja i Vladimir jesteśmy dwoma ogniskami tej samej elipsy, dwiema sprzężonymi osiami... zawiązaną i wpisaną do ksiąg spółką, jak Wichterle i Kovarzik, Laurin i Klement... Ajajajaj! — jęknął Egon Bondy, załamał białe, drobne ręce, uniósł je wysoko, w mroku gospody Pod Bonapartem i, skłoniwszy głowę, załkał cicho, a po chwili gwałtownymi ruchami, jak dyrygent, szybko, aby okazać swój smutek, zwyczajem galicyjskich Żydów, jednym szarpnięciem za klapę marynarki urwał wszystkie guziki i wysypał sobie na głowę popielniczkę z tłącymi się niedopałkami... tak że zajęły mu się te jego piękne, napomadowane tęsknotą włosy, i goście musieli gasić go piwem. — Kurwa fiks! — krzyczał cichutko Egon — wszystko przez tego smarkacza Vladimira!

Tej nocy, kiedy Vladimirowi to się przydarzyło, tego ranka widziałem doktora Drvotę, jak wbiegł po



schodach na podwórze, już z daleka widziałem nieszczęście w jego oczach, szarpał za klamkę, potem stukał w okno, przysłaniał sobie ręką oczy, chcąc dostrzec przez szybę, czy jestem w domu, stałem w drzwiach, w których przed laty postawiliśmy z Vla-dimirem mur, a potem go rozebraliśmy, stałem w cieniu i serce mi waliło, potem zobaczyłem oddalające się plecy psychiatry, kierownika telefonu zaufania, jak schodzi po schodach, jak widać już tylko jego tułów, głowę i oddalający się kapelusz... ległem na podłodze i wsłuchiwałem się w przeszłość, która powracała tak barwna i żywa, przeszłość jak tunel, który zaczął się od pierwszego spotkania z Vladimirem na rynku Starego Miasta, kiedy o czwartej nad ranem myłem się w fontannie, i to samo robił Vladimir, ten przerywany tunel, gdy się nie widzieliśmy, ażeby znów się spotkać, odnaleźć wątek i nawiązać rozmowę od miejsca, w którym skończyliśmy, widziałem, leżąc na plecach na dywanie, że tunel kończy się, lecz i prostuje, i że dziś w nocy Vladimir wyruszył w Kosmos z pasa startowego, który już dawno sobie przygotował, na którym wcześniej trenował i ćwiczył... A potem znowu ktoś dobijał się przeraźliwie do drzwi, potem do okna, aż w końcu stukał na przemian w okno i w drzwi, jakby stroił kotły w orkiestrze, widziałem zza firanki popielatą ze zgrozy, stężałą z przerażenia twarz kuzynki Vladimira, a zatem miałem już potwierdzenie z drugiej strony, pewność, że z Vladimirem to definitywnie koniec i zdałem sobie sprawę, że nie mogę wstać, że mogę tylko leżeć tak na plecach i wpatrywać się wytrzeszczonymi oczami w sufit... Potem również kuzynka Vladimira zbiegła po schodach, pomagałem jej zbiec wbijając wzrok w jej plecy, potem długo było

cicho i na podwórze przez wysoki mur zajrzało słońce, oślepiające i uroczyste... i w to słońce wbiegł Egon Bondy, spoglądał wrogo na okna i zamknięte drzwi, a potem on także dobijał się i wołał, potem cicho nasłuchiwał, później odbiegł na środek podwórza, obrócił się, rozłożył swoje delikatne ręce, wystawił do słońca dłonie i żyły, odchylił do tyłu brodatą, owłosioną głowę, głowę, która teraz otoczona była aureolą, pachnącą i zionącą Prazdrojem, i wołał w ekstazie, jak doctor extaticus: Mein gutester Herr Vladimir! Wybiło podzwonne dla fenomenologicznych stresów, teraz już amen z adaptacją, teraz już nie obchodzi cię ani egzystencja, ani imaginacja, ani transcendencja, teraz już nie obchodzi cię nawet metafizyka. Mister Vladimir! Lecisz teraz tam, gdzie bije źródło niehumanicznych, a tak potrzebnych ludziom rzeczy. Rozstaję się z tobą tylko na chwilę, ponieważ dla mnie również jedyną pociechą jest ontologia, niewidzialne, a przecież rzeczywiste królestwo, do którego wkraczasz teraz, wyniesiony rakieta znacznie potężniejszą niż Apollo 12! Nie musisz najpierw być wyniesiony na orbitę, lecisz prosto przed siebie, bez przesiadek, drogą łaski, właśnie tak, jakby na interwencję starego, ale martwego Boga. Monsieur Vladimir! Widzę cię teraz, jak lecisz na wznak, zapięty w rozporoku ontologii, prosto w sam środek równobocznego trójkąta, w samo centrum, do samej centrali bytu...! Panie Władymirze! Panie Wła-dymirze! Panie Władymirze! — Czego pan tu krzyczy, musi się pan tak drzeć? Nie daje pan spać mojemu dziecku — zawołała z balkonu, z galeryjki, przykładna matka, pani Slaviczkova. — Chce pan, żeby mój Jeniczek znów dostał drgawek? I miała rację, tę piękną rację czuwającej matki, podobnie jak rację miał Vladi-

mir, rację artystów, którzy wyprzedzili nas swoją sztuką, jak rację miałem ja, leżący bez ruchu, sparaliżowany nieszczęściem na dnie mego pokoju, tak też rację miał Egon Bondy, przemieniony w Zbyńka Fiszera, wykrzykujący swoją rację z platformy startowej podwórza na Grobli Wieczności, na Libni...

## LIST DO UCZESTNIKÓW WERNISAŻU

Wy, którzy czytacie ten tekst, wy wszyscy, którzy patrzycie na grafiki Vladimira, nie myślcie tylko i jedynie o technikach plastycznych, nie zastanawiajcie się, co Vladimir chciał powiedzieć swoją grafiką na temat realnego świata, myślcie jednocześnie o wielobarwności i cudowności istnienia, które tyka z sekundy na sekundę, bez końca. Myślcie wszyscy o Vladimirze, który wszędzie czuł się jak u siebie w domu, myślcie o tym, że jego atelier było zawsze tam, gdzie właśnie się znajdował, myślcie o jego oczach, oczach dziecka, a jednocześnie naukowca, które rozglądają się uważnie dokoła, bowiem zawsze to, co na pozór pozbawione wartości i znaczenia, to, czym ludzie gardzą, zasługuje na świętokradczy hołd i dar monumentalnego piękna, nawet jeśli na powierzchni nie większej niż chustka do nosa. Wy wszyscy, którzy chcecie zostać artystami plastykami, nie czekajcie, aż będziecie mieć atelier i będziecie w Pradze, uświadomcie sobie, że atelier Vladimira było takie malutkie, że mieściło się tam trzech ludzi, a czwarty musiał już stać w korytarzu... A mimo to Vladimir, w tej swojej komórce na Žižkovie, za sprawą swojej aktywnej grafiki osiągnął tę samą wielkość, co Pollock i Mathieu dzięki malarstwu ciała. Wy, którzy jesteście tylko widzami, wy wszyscy pró

bujcie tak jak Vladimir ściągnąć naskórek materii, starajcie się dotrzeć do pięknych błon śluzowych form żywych i nieożywionych, nie bójcie się, przeprowadzajcie wiwisekcję nie tylko na sobie, ale na czymkolwiek, ponieważ tylko w ten sposób, przez całe życie, będziecie cieszyć się, zadziwieni odkryciem, że materia stworzyła ludzkie oczy jedynie po to, aby w nich dostrzec i rozpoznać własne nieskończone piękno. Wy wszyscy, którzy patrzycie na grafiki Vladimira, wiedźcie, że Vladimir był wykwalifikowanym tokarzem, że darzył miłością wszystkie środki wyrazu tego fachu i materiały, za pomocą których i z których wyrabia się pożyteczne przedmioty i części, że Vladimir sam w sobie był doskonałym uosobieniem tego wszystkiego, co zawiera pojęcie warsztatu tokarskiego, że w pewnym czasie potrafił twórczo wykorzystać to wszystko w swojej grafice i to tak, że żaden grafik na świecie nie stworzył tak nowoczesnych, pięknych i zachwycających artefaktów, jak on. Jego aktywna grafika jest w stanie zachwycić zarówno znawcę malarstwa, jak i robotnika fizycznego, jego aktywne grafiki umożliwiają najsubtelniejszy wgląd duchowy, jak i drobiazgowy ogląd za pomocą zmysłów. Wy wszyscy, którzy patrzycie na grafiki Vladimira, wiedźcie, że także mnie Vladimir wprawiał w przerażenie tym, że potrafił w mgnieniu oka dostrzec materiały i sytuacje, które ja przeoczyłem. Za każdym razem, kiedy spotkał się z czymś 'niezwykłym', zawsze na jego twarzy pojawiał się zdziwiony uśmiech, a kiedy i ja zwracałem wzrok w tę samą stronę, wodziłem oczami... aż zobaczyłem! I zawsze były to jakieś kawałki i opiłki metalu, przewrócony samochód ze stwardniałym asfaltem, pył pokrywający belkowanie i piece w hucie Poldi, ptak

ciągnący po przekątnej źdźbło na budowę gniazda... W ogóle  
Vladimirowi stale towarzyszyła całkiem zwyczajna cudowność,  
niezwykłe zdarzenia. Kiedyś po kilku piwach szliśmy trasą nad  
Vysoczanami, usiedliśmy, pod nami dudniły pociągi, a Vladimir  
wpatrywał się w warstwy żwiru pod swoimi butami i jak ze  
Skylabu obserwował całe pasma i łańcuchy górskie, cicho mówił  
o tym, co widział na ziemi, o pięknie Alp i Pirenejów, podgarnął  
butem żwir i kontynuował wspinaczkę w Andach i Himalajach,  
nie opuszczając skarpy w Vysoczanach. Kiedy kapaliśmy się  
przy bulwarze na Libni, Vladimir często siadywał na ostatnim  
schodku, tak by fale delikatnie obmywały mu nogi i pytał, po co  
miałby jeździć po świecie, skoro właśnie teraz, na Libni, żegluje  
po Morzu Czarnym i po Atlantyku z nie mniejszą przyjemnością  
niż Rimbaud, który pisał *Statek pijany*, siedząc skulony na dnie  
małej łódki. Nigdy też nie spotkalibyście Vladimira w słynnych  
piwiarniach Pod Tygrysem czy Pod Dwoma Kotami albo U  
Pinkasów lub U Schnellów. Za każdym razem, gdy szukałem  
Vladimira, musiałem przemierzać knajpiane szlaki, które były na  
swoją sposob kontynuacją poetyki Vladimira. Jeśli nie było go Na  
Przystanku w Vysoczanach, szedłem do Cziżków, jeśli i tam go  
nie było, szukałem go Pod Kasztanem, jeśli nie było go także  
tutaj, istniała nadzieja, że będzie pił dziesiątkę przy szynkwasio w  
Rosyjskim Dworku, jeśli i tam go nie było, wskakiwałem do  
tramwaju i szukałem go na Žižkovie Pod Krzakiem Róży, jeśli mi  
powiedziano, że Vladimira już dwa dni tu nie było, niechybnie  
znalazłem go pod wieczór jeśli nie U Babek, to Pod Małmazją,  
gdzie siedział i nastawiał gramofon. Czasem wpadał na ulicę  
Ludmiły na Libni do Haus

manów albo ulicę dalej, do Przemyśla... a wszystkie te gospody pachniały rozlanym piwem, a obrusy były całe w plamach z rozlanej kawy i napojów alkoholowych, a pisuary w tych wszystkich knajpach w pierwszej chwili budziły wstręt, ale miały tak wymyślnie przerdzewiałe rurki i tak piękne wodospady stwardniałego dziegciu ozdobionego kanarkową żółcią plam moczu, że Vladimir częstokroć stał tam, zaglądał do rowka pełnego zapalek i niedopałków przystrojonych kuleczkami dezynfekcyjnymi i plasterkami cytryny i wrzeszczał, jakby to było pięknie, gdyby znalazł siłę i sposób na to, żeby przepuścić całą tę ścianę z dziegciem przez prasę i wydrukować jako grafikę. Pewnego razu wyszliśmy z Vladimirem z Błękitnej Gwiazdy, a kiedy weszliśmy na trotuar, Vladimir stanął jak wryty. I znów widziałem na jego twarzy ten zdziwiony, radosny uśmiech, i znowu zżerała mnie zazdrość i zamierałem z przerażenia, że Vladimir widzi coś, co ja od dawna mijałem, niczego nie widząc. A kiedy zebrałem siły i zwróciłem wzrok w tę samą stronę, zobaczyłem ram, na samym końcu, olbrzymie litery z blachy, umieszczone na samym szczycie czteropiętrowego domu, litery, które przejmowały wzruszeniem, ujęte w formę słowa PIĘKNO. I natychmiast zrozumiałem, że to są resztki stawy czeskiego filozofa Ladislava Klimy, który mieszkał w tym hotelu Piękno, więc umówiliśmy się z Vladimirem, że pożyczymy mi kombinezon i że zaraz następnego dnia zdejmujemy te litery i umieścimy je w izbie pamięci w CzKD, a jeśli nie będą ich tam chcieć, to zaniemiemy je do galerii Manesa. Tak więc przyszliśmy nazajutrz i nie wierzyliśmy własnym oczom. Kiedy wypytywaliśmy się w budynku, powiedziano nam, że pracownicy administracji zdjęli te litery przed polu

dniem i wywieźli je na złom, ponieważ to PIĘKNO zagrażało bezpieczeństwu przechodniów... I znowu, wy wszyscy, którzy patrzycie na grafiki Vladimira, wiedzcie, że Vladimir nie był zawiedziony i nie klął na czym świat stoi, ani nie wymyślał tym pracownikom, tylko uśmiechał się przez cały wieczór i milczał, bo tak naprawdę cieszył się, że ci pracownicy spuentowali za nas tę piękną historię. Tak więc chodziliśmy po tych knajpach i czekaliśmy na kolejne zasadzki i sidła, które zastawi na nas rzeczywistość. I znów staliśmy przy szynkwasio w barze Świat i piliśmy wspaniałe piwo, i znowu ujrzałem na twarzy Vladimira ten uśmiech, jego oczy musiały napotkać coś niezwykłego, ponieważ Vladimir, nie mogąc znieść tego naporu rzeczywistości, przymykał oczy. Kiedy przyszedł do siebie, jakby nie mógł uwierzyć, spojrzął znowu ponad moim ramieniem i tym razem sprostował tej sytuacji flirtu z czymś tam w pasażu wiodącym do kina Świat. Vladimir patrzył zawsze na te przedmioty i wydarzenia, które przynależały do jego poetyki, w taki sposób, jak gdyby patrzył czule i z wzajemnością w oczy pięknej kobiety. I odwróciłem się i spojrziałem tam, gdzie spoglądał Vladimir, i zobaczyłem małą Cyganeczkę, jak ryje szpilką jakieś zygzaki w pomalowanej farbą szklanej ścianie... I Vladimir przyniósł dwa kufle piwa i wyszliśmy z kuflami do pasażu i byliśmy wstrząśnięci tym, co zobaczyliśmy. Kiedy Vladimir się napił, zęby szcęknięły mu o kufel, tak niezwykły był ten obraz, wyryty przez tysiące ludzkich rąk w szklanej ścianie, pomalowanej z zewnątrz białą farbą, którą dzieci i zakochani, kinowa publiczność, pod wrażeniem swych kilku czy kilkunastu lat, monetą lub nożem, szpilką lub końcem szminki pokryli całą ścianę godłami i znakami, mono



gramami i wiadomościami, na ogół jednak wyrytymi ot tak, od niechcienia, jak wtedy, gdy bazgrze się w zadumie na marginesie gazety lub szkolnego zeszytu... Vladimir rozłożył ręce z kuflem w dłoni i oświadczył, że jak zdobędziemy pieniądze, kupimy tę szklaną tafłę, to okno magazynu baru Świat i zabierzemy do domu. I rzeczywiście, kiedy zdobyliśmy tysiąc koron i przyszliśmy następnego dnia, Vladimir już przy wejściu do pasażu wydał z siebie swój triumfalny śmiech: Chacha-chachaaa! A kiedy doszliśmy do magazynu baru Świat, klęczał tam malarz i starannie fladrował i zamazywał emalią ostatnie bazgroły, i cała ta szklana ściana była biała jak zagruntowane płótno, przygotowana jak tabula rasa, żeby wszystko zaczęło się od nowa. Wy wszyscy, którzy podziwiacie grafiki Vladimira, wiedzcie, że te małe przygody mogą przydarzyć się i wam, myślę, że jeśli nadacie im znaczenie niezwykłego spotkania, także wy zaczniecie uważać swoje życie za wyjątkowe, a zatem piękne. Wskoczcie bez lęku, głową naprzód, do bezpowrotnej terażniejszości, bo tylko tak, w mgnieniu oka, znajdziecie się w samym sercu wieczności. Pamiętam, jak pojechaliśmy z Vladimirem do Pikovic, żeby odwiedzić jego ciotkę. Ale gdy wysiedliśmy z pociągu i ujrzeliśmy mętne wody Saza-wy, która wystąpiła z brzegów, nie minęła minuta, jak zafascynowani rozebraliśmy się w milczeniu i jeden za drugim wśliznęliśmy się w nurt późnowiosennej powodzi, która uniosła nas z szybkością zawodowego cyklisty, pagórki i szosy ginęły w tyle, a Vladimir znów był zachwycony i piękny, a gdy nurt wiosennej wody przeciągnął nas ze zwiększoną szybkością przez te miejsca, gdzie normalnie jest jaz, Vladimir wrzeszczał: Chachachaaaa...! A gdy rzeka uniosła nas dalej niż

o kilometr od naszych ubrań, zniosła nas w zaciszne miejsce... poszliśmy pod prąd, żeby powtórzyć ten popis akrobacji. Vladimir żałował tylko, że jak dla niego byłoby jeszcze piękniej, gdyby — kiedy przetaczaliśmy się przez jaz — poharatał sobie odrobinę udo o jakiś gwóźdź, żeby przekonać się, jak to było, kiedy Albert Burri jako pierwszy umyślnie pociął obraz na wystawie. Potem dodał, że nie można chcieć wszystkiego, że wystarczy mu przynajmniej świadomość, czego doświadcza matryca, kiedy przepuszcza ją przez służbę prasy na drugą stronę. To były te piękne czasy, kiedy Vladimir potrafił uzyskiwać kompresję, która następnie, w formie grafik, była proporcjonalna do jego ekspresji. W owym czasie jeździliśmy z Vladimirem do Nymburka na motocyklu. Musiałem jechać z taką szybkością, jaką ten mój grat był w stanie rozwinąć. Ale Vladimir najchętniej opowiadał o tym, jak jechaliśmy razem na motorze ścieżką leśną po leśnych wydmach nad Łabą i wpadliśmy w poślizg. Pamiętam, jak Vladimir przeleciał nade mną i wpadł głową w zarośla, które pochłoneły go w końcu włącznie z butami. Biegałem przerażony dokoła zarośli, wołając: Vladimirze, na miłość boską, nic się panu nie stało?, i znalazłem Vladimira w piachu, z guzem na czole, ryczącego ze śmiechu i z zachwytu, że urządziłem mu piękną niedzielę, że pod wrażeniem tego upadku w zarośla wykona tylko dla mnie cykl grafik. Ale najpiękniejszą serię monotypii, niemal trzydzieści pięć olbrzymich grafik, które tworzą ostatnią fazę jego twórczości, Vladimir wykonał pod wrażeniem jazdy na motocyklu Jawa 500, którym kierował tokarz Kotrcz, z którym Vladimir przyjechał do mnie do Nymburka, siedząc w maleńkim koszu jak w balii. Pod wrażeniem

jedynej w swoim rodzaju jazdy i nie zwróconej pożyczki Vladimir tylko dla pana Kotrcza pracował przez dwa dni, z zastrzeżeniem, że pan Kotrcz kupi mu farby i przez czterdzieści osiem godzin będzie mu przynosił piwo w dzbanie. Pan Kotrcz był malutki, małomówny, bojaźliwy, musiał stoczyć najstraszniejszą walkę w historii swojego małżeństwa, żeby móc spośród tych trzydziestu pięciu skarbów powiesić... tylko jeden... na ścianie. Wy wszyscy, którzy podziwiacie grafiki Vladi-mira, wiedźcie, że Vladimir, choć był proletariuszem, to i arystokratą, a jego życie to wezwanie, by w jego ślady poszli ci, którzy sądzą, że życie warte jest jeszcze tego, aby je przeżyć w pełni.

## *EKSPLOZJA WRAŻLIWOŚCI*

*Nie często zdarza się, żeby dwaj artyści — pisarz i malarz — poznali się w bucie. Wprawdzie na początku lat pięćdziesiątych, kiedy zaczyna się opowiedziana w tej książce historia, wizyty ludzi sztuki na budowach socjalizmu były zjawiskiem częstym: tak hartował się socrealizm, najniezwyklejszy w dziejach przykład grafomanii na usługach ideologii. Ale Bohumil Hrabal i Vladimír Boudník nie chcieli mieć nic wspólnego z socrealizmem. I nie byli w owej hucie na wycieczce.*

*Autor Czulego barbarzyńcy zawdzięcza swoje liczne „zatrudnienia” pospołu Hitlerowi i Stalinowi. Gdy Niemcy wkrótce po zajęciu Pragi w marcu 1939 r. zamknęli czeskie szkoły wyższe, ex-student prawa Bohumil Hrabal zapisał się na kurs dla telegrafistów i po złożeniu niezbędnych egzaminów został dyżurnym ruchu na kolei. Po wojnie dokończył studia—ale mimo tytułu doktora praw nie zamierzał być prawnikiem. Miał się wtedy ukazać jego debiutancki tomik Zgubiona uliczka, ale — jak sam wspominał po latach — „firma Hradek z Nymburka tak długo odkładała wydanie tej Zgubionej uliczki, aż przyszedł rok 1948 i drukarnie znacjonalizowano”. Władzę w Czechosłowacji przejęli komuniści: Hrabal zamiast na literackim Parnasie znalazł się w hucie Połdi w Kładnie*

*niedaleko Pragi. Wkrótce do tej huty trafił również 26-letni absolwent Państwowej Szkoły Grafiki w Pradze Vladimír Boudník. Był rok 1950.*

*Jak to się stało, że pół roku później Boudník wprowadził się do wynajmowanego przez Hrabala mieszkania przy ulicy Na Grobli 24 w praskiej dzielnicy LŽbeň Mieszkali razem półtora roku.*

*Pozornie dzieliło ich wszystko: pochodzenie, wykształcenie, wiek. Hrabal był o dziesięć lat starszy, wychował się w niezłej sytuacji rodzinie mieszczańskiej (jego ojczym był kierownikiem browaru w Nymburku), przed wojną sporo podróżował, świetnie orientował się w sztuce współczesnej.*

*Boudník natomiast był autentycznym proletariuszem — o świecie wiedział tyle, ile się naoglądał podczas robót przymusowych w bombardowanych przez aliantów Niemczech.*

*Ale właśnie wojenne przeżycia sprawiły, że doszedł do wniosku, iż ludzkość potrzebuje nowej sztuki — sztuki na miarę ery atomowej. Zrozumiał, że po Hiroszimie i Nagasaki sztuka prawdziwie nowoczesna musi wyzwać w widzu reakcje na podobieństwo detonacji — albo pozostanie niezauważona i zbędna. Tę nową sztukę, w której twórca, dzieło i odbiorcy połączą się w jednej eksplozji wrażliwości, nazwał eksplozjonalizmem.*

*Nowy kierunek zaistniał teoretycznie w trzech manifestach, „wydanych w maszynopisie” w latach 1949-51. W latach 1949-1957 Boudník przeprowadził z kilkoma przyjaciółmi ponad 100 „zdarzeń ulicznych” z udziałem przechodniów. Na życzenie eksplozjonalistów doszukiwali się oni znajomych kształtów (postaci ludzkich, zwierzęcych itp.) w plamach tynku na ścia*

nach kamienic — a już po chwili mogli je zobaczyć namalowane. Takie dzieło sztuki było z natury rzeczy nietrwale: wszak ściana choćby tego samego dnia mogła zostać przemalowana, albo i wyburzona. Ale też nie o „dzieło” chodziło w tych „zdarzeniach”, lecz o pobudzenie wrażliwości i wyzwolenie kreatywności ich uczestników.

I to łączyło Boudnika i Hrabala: wiara, że inspiracji należy szukać na ulicy, wśród zwyczajnych ludzi, bowiem samo życie jest nadrealne w stopniu, o jakim nie śniło się surrealizmom. Trzeba je tylko sprowokować, tak jak robił to Boudnik, a potem opisać, tak jak to zrobił Hrabal.

Eksplozjonalizm miał sens tylko w połączeniu z dwoma największymi wrogami socrealizmu: podświadomością i abstrakcją. Nie powinno więc dziwić, że Boudnikowi niemal przez całe życie nie pozwalano wystawiać, że uważano go za chorego psychicznie. Ten człowiek, którego przyjaciele nazywali Misjonarzem i który „programowo” doprowadzał się do rozstroju nerwowego (zgodnie z dewizą Arthura Rimbauda, iż „Poeta staje się jasnowidzący przez długie, ogromnie wyrozumowane rozprzęganie wszystkich zmysłów”) tworzył przeważnie w nocy. Bowiem za dnia, przez całe 13 lat, pracował (po zwolnieniu z huty) jako narzędziowiec w zakładach mechanicznych CzKD w Pradze.

Hrabal w lipcu 1952 r. uległ w hucie poważnemu wypadkowi. W październiku 1954 r., po długotrwałej rekonwalescencji, został skierowany do pracy w składnicy makulatury. Spędził tam pięć lat. W tym czasie Boudnik porzucił pędzel, zaniechał „zdarzeń ulicznych” i poświęcił się wyłącznie grafice. W 1959 r.

odkrył „grafikę strukturalną”. Tak sam ją opisywał: „Płytę blaszaną pociągamy nitro farbą (rozrzedzoną wedle potrzeb), zmieszaną z piaskiem. Powstaje rysunek ze strukturą, określoną przez grubość piasku, w której po wyschnięciu zacieramy farbę i drukujemy jak zwyczajną grafikę”. Podobnych technik uzyskiwania grafik, z wykorzystaniem najróżniejszych materiałów — jak choćby opiłków żelaza przesuwanych za pomocą magnesu po wysmarowanej farbą powierzchni blaszanej płyty — wynalazł jeszcze kilkanaście.

Wiatach 60. do Czechosłowacji zawitała spóźniona „odwilż”. W 1963 r. ukazała się wreszcie pierwsza książka Hrabala *Perełka na dnie*, a dwa lata później sławę przyniosła mu mini-powieść *Pociągi* pod specjalnym nadzorem (na podstawie której Jirži Menzel zrealizował w 1966 r. swój słynny film). Również Boudník doczekał się wówczas pierwszej samodzielnej wystawy w Pradze i został przyjęty do Związku Czeskich Artystów Plastyków.

Posypały się nagrody i dowody uznania ze strony ludzi, którzy przez kilkanaście lat ignorowali jego twórczość (i kilka lat później, po zdławieniu Praskiej Wiosny 1968 roku, znów skazali ją na zapomnienie).

Sukces przyszedł zbyt późno. W styczniu 1968 r. Boudník pisał do jednego z przyjaciół: „Przez całe lata wykonywałem w fabryce pracę (...). Chciałem zademonstrować swoją normalność — odpowiadając na ataki i oszczerstwa, że jestem obłąkany. (...) Nawet nie wiesz, jak mnie to pogrąża, gdy dowiaduję się, że zamiast galerii plastycznych moją twórczością zaczyna interesować się psychiatria (...). To zabójcze, być stale pod obserwacją”. 5 grudnia 1968 r. popełnił samobójstwo.

*W piątą rocznicę śmierci Boudnika w prowincjonalnej galerii w Usti nad Orlicą odbyła się zorganizowana przez przyjaciół wystawa jego prac (praskie galerie były dla Boudnika zamknięte aż do 1989 r.). Zwrócili się oni do Bohumila Hrabala z prośbą, by napisał tekst do katalogu wystawy. W owym czasie Hrabal, jak większość pisarzy czeskich, był objęty zakazem druku; znów, jak przed laty, pisał do szuflady. Gdy wrócił pamięcią do starych czasów, odnalazł we wspomnieniach remedium na „nowe”, które wróciło z radzieckimi czołgami. Tak powstał Czujący barbarzyńca, książka, która przeszła do legendy czeskiego obiegu niezależnego (a oficjalnie ukazała się dopiero po „aksamitnej rewolucji”). Można ją czytać jak przewodnik po praskich knajpach (z których zresztą większość już nie istnieje), albo jak niekonwencjonalną biografię największego czeskiego grafika-abstrakcjonisty. Można przeczytać ją jak serię anegdot z udziałem trójki głównych bohaterów: Boudnika, Hrabala i Egona Bondy'ego, (wł. Zbyszek Fiszler, wówczas początkujący poeta, a po latach „papież” undergroundu, prozaik i filozof publikujący do 1989 r. poza obiegiem oficjalnym).*

*Ale można przeczytać ją jeszcze inaczej. Przechodnie biorący udział w „zdarzeniach ulicznych” Boudnika uruchamiali własną wrażliwość „wczytując się” w mury kamienic. Podobnie i my możemy pobudzić swoją, czytając o przygodach Hrabala i jego przyjaciół.*

Aleksander Kaczorowski



Spis treści

Dziennik pisany nocą 7

Czuły barbarzyńca 17

List do uczestników wernisażu 115

*Eksplozja wrażliwości* 123



*Czuty barbarzyńca* (1973) to niekonwencjonalna powieść inspirowana postacią grafika-abstrakcjonisty Vladimira Boudnika (1924-68), opowieść o przyjaźni i wspólnych poszukiwaniach nowych źródeł inspiracji - w knajpach, na ulicy, wśród zwyczajnych ludzi - a także historia narodzin hrabalowskiej estetyki i wizji świata Opatrzona przez autora podtytułem *Teksty pedagogiczne*, przez kilkanaście lat funkcjonowała w obiegu niezależnym.